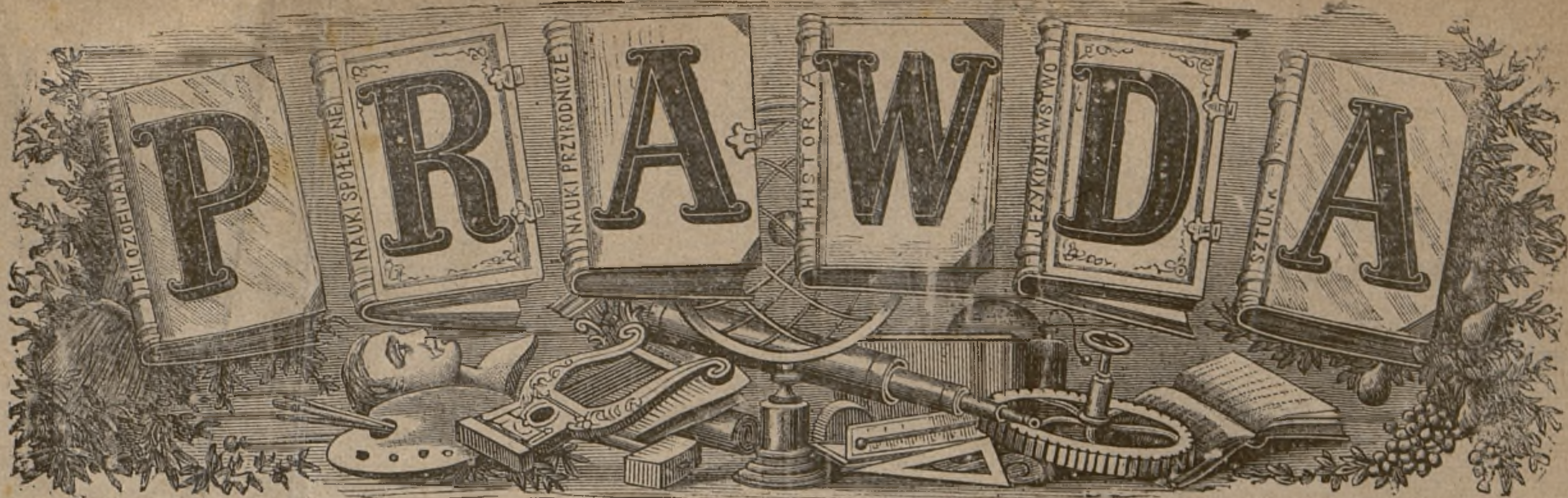
№ 1. Warszawa, dnia 7 Stycznia (26 Grudnia) 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: **Złota Nr. 23.**
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Jubileusz papiezki. — Tydzień polityczny. — Z dziennika Goncourtów.—*Badania naukowe*: Rzecz o socyalizmie I. p. Ludwika Krzywickiego. — Nowa teorya uczuć I. p. W. Kozłowskiego. — *Literatura i sztuka*: Po świecie I. p. Egrota. — Literatura polska: Leonard Sowiński p. Zenona Pietkiewicza. — Literatura ruśińska p. Iwana Franko. — Teatr p. Cezarego Jelentę. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. —Na widnokręgu p. Drogomira. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Nowi abonenci *Prawdy*, którzy pragną posiadać wydaną dotąd pierwszą część dzieła *Historyi XIX w.* i zwrócą się *bezpośrednio* do naszej administracyi, mogą nabyć tę książkę za rs. 1 (na przesyłkę pocztową należy dołączyć kop. 27).

POLITYKA.

JUBILEUSZ PAPIEZKI.

„Papieztwo pozostaje tem, czem jest, tylko chce dojść do celu swego— do władzy świeckiej manowcami. Leon XIII też nie powinien dziwić się, że inni również stają na stanowisku interesów... Papieztwo jest jeszcze siłą, ale już nie taką, któraby przy ścieraniu się obecnych mocarstw padała na szalę rozstrzygająco; nikt nie słucha jego skarg o to, co mu głównie na sercu leży... Zapewne też Leon XIII czuł pewne rozczarowanie, gdy przeglądający bogate dary, które mu złożono z całego prawie świata, musiał sobie powiedzieć: nie ma między nimi mojego państwa kościelnego."

Słuszna ta uwaga jednego z wielkich dzienników europejskich ma oparcie faktyczne: Leon XIII chętnie przyjął i worki złota, i kosztowne wyroby, i drogie kamienie, i 50,000 butelek szampana — ale wszystko to nie wypełniło całkowicie jego serca radością, nie [illegible]jętniło tęsknoty za owym wstrętnym Chrystusowi a najmilszym jego namiestnikowi darem— za utraconą władzą świecką. Gdy poczciwy Humbert, zapominając uraz i krzywd, chciał papieżowi w dzień jubileuszu złożyć swoje życzenia, Leon XIII, zagadnięty przez kogoś, dał charakteryzującą jego i Watykan odpowiedź: „dobrze, ale od króla *sabaudzkiego.*" Skoro zaś wspomniano, że ów król „sabaudzki" pragnąłby go czemś obdarować, odrzekł: „jedynym darem, jaki bym od niego przyjął, jest Rzym." Tyle jedynie spodziewać się można od tego człowieka i tej instytucyi.

Ale ten sam Humbert mówiąc o *Roma intangibile* a jego obecny prezes ministrów zapewniając, że „kwestya rzymska istnieć przestała," nie rzucali na wiatr pustych frazesów. Świecka władza papiezka należy już całkowicie do historyi, a jeżeli jej z przeszłości w teraźniejszość sięgające strzępki bywają czasem związywane ze sprawami politycznemi chwili bieżącej, to tylko palcami zręcznej dyplomacyi, pragnącej przez dogodzenie zabytkowemu i przedawnionemu nałogowi władcy Kościoła wytargować odeń ustępstwa i usługi praktyczne. Dziś w Europie nie ma ani jednego państwa, któreby miało jakikolwiek interes lub czuło idealną chęć wskrzeszania mumii zabalsamowanej w dziejach. Ani Francya, której przecięty związek z papieztwem trzyma się na kilku zaledwie wątłych niciach, ani Austrya ledwie zdolna poradzić swym wewnętrznym kłopotom, ani Hiszpania bezsilna i zwichrzona, ani Włochy podważane i rozbijane w swej jedności przez Watykan — nie rozgrzeją się ogniem z próchna świecącem. Błysnął pozorami skutecznej pomocy znakomity reżyser polityczny, ale wygrawszy chwilową komedyą swój interes, poprzestał na słodkim uśmiechu i... zawarł przymierze z królem „sabaudzkim." Po usunięciu się tej ostatniej deski ratunku, papież musi płynąć o własnych siłach po rwącym potoku wypadków, którego prąd unosi go w kierunku przeciwnym jego ruchom, rzutom i zamiarom.

Nawet hołdy jubileuszowe, nawet dary i tłumy pielgrzymów, zadowolniwszy jego dumę, mimowolnie i mimowiednie zaprzeczyły jego pretensyom. W samym liście do kardynała Rampolli między innymi względami, usprawiedliwiającymi konieczność przywrócenia władzy świeckiej „ojcu św.," przytoczył Leon XIII i to, że bez niezależnej posiadłości terytoryalnej, bez własnego aparatu państwowego, papież nie może swobodnie rządzić kościołem i działać dla dobra religii. Obecne, przez rząd włoski niczem nieskrępowane uroczystości jubileuszowe, podczas których przez stolicę państwa przetaczają się swobodnie fale pątników z całego świata — sam ten widok przekonywa, że ów argument był bezpodstawnym i wykrętnym. Papież w Rzymie Humberta używa takiej samej niepodległości religijnej, jak w własnym, a nawet większej, gdyż nieprzyjazne mu objawy i wybuchy są przez państwo mocniej i skuteczniej tłumione.

Gdy zaś ten argument roztopił się w wymownych dowodach rzeczywistości, gdy najserdeczniejsze stosunki polityczne papieztwa nie obiecują mu odzyskania władzy państwowej, co więc właściwie jest jego siłą? Tylko wiara i zaufanie ludów. Wiarę Leon XIII stara się podsycać, ale zaufanie w znacznej mierze stracił, zwłaszcza śród tych społeczeństw, których dola lub niedola od jego działań i sojuszów zależała. Francuzi, hiszpanie, węgrzy, którzy nie znajdowali się w potrzebie używania opieki papieża i nie doznali jej skutków, mogą jak ćmy lecieć do blasku watykańskiego, ale nie olśnił on narodów, które zwracając się w nieszczęściu do „ojca św.," znalazły zimnego, samolubnego „dyplomatę."

Rozumiemy wartość polityczną religii i szanujemy wszelkie jej źródła czyste. I religia jest systemem filozoficznym, a chociaż śród tych systemów odróżniamy i wybieramy dla siebie te tylko, które wyszły z wiedzy ścisłej i badań niepodległych, nie odmawiamy ani racyi bytu, ani użyteczności praktycznej innym, niewytrzymującym próby naukowej. Pragnąc swobody przekonania dla siebie, pra-

gniemy jej dla wszystkich. Ale teorya egoizmu papiezkiego nie jest filozofią, nie jest religią, tylko chciwością jednostkową i wyzyskiem. Bezczelnie kłamie ten, kto zakonem Chrystusowym usprawiedliwia obecną politykę Watykanu.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wrzawa zamilkła, giełdy objawiły większe zaufanie do papierów ruskich, gazety niemieckie przestały widzieć wojnę a półurzędówki wymieniły między sobą ukłony — mamy więc znowu pokój przy iluś tam (bo dziś już policzyć trudno) milionach wojsk, stojących pod bronią i gotowych do wymarszu. Na uciszenie swarów, kłótni, groźb i pukaniny dziennikarskiej wpłynął nie mróz, choć może i on, zapowiadając zimę długą a ciężką, pewną rolę odegrał, lecz *Reichsanzeiger*, który ogłosił owe słynne dokumenty sfałszowane, przedstawiające w złem świetle politykę niemiecką rządowi ruskiemu. Prasa petersburska przyjęła ten czyn z wielkiem uznaniem i złączyła z nim nadzieję, że nadwyrężone w nieporozumieniach stosunki wrócą do dawnej, przyjaznej postaci. Organ ministeryalny, *Journ. de St. Petersb.*, oświadczył, że „ogłoszenie tych listów rozświetliło nareszcie smutny epizod, który tak poruszył opinię publiczną w Europie. Należy się cieszyć z tego, prawda bowiem jest najskuteczniejszym środkiem do usunięcia niewiary, wytworzonej powątpiewaniem a podsycanej niewiadomością. Sprawa ta została obecnie wyczerpaną, a osoby, zainteresowane w naruszaniu zgodnych stosunków międzynarodowych, straciły jedną ze sprężyn swej szkodliwej działalności.“ Jednocześnie ks. Łobanow Rostowskij dał hr. Kalnokemu najbardziej uspakajające zapewnienia o zamiarach Rosyi, Tisza zaś na przyjęciu noworocznem również zakreślił tęczę nad najbliższą przyszłością. A tak dalece chodziło jemu i sferom rządowym wiedeńskim o ukazanie pokojowej twarzy Janusa, że gdy biuro telegraficzne zmieniło jeden wyraz w jego mowie, ukazujący twarz drugą, podniesiono krzyk i rozesłano natychmiast sprostowanie.

Panuje tedy w Europie pogoda bezchmurna. Ale czemuż mimo to wszyscy bladzi, smutni, pognębieni? Czekają na rękojmię, że jutro, za tydzień, za miesiąc te same *Posty*, *Pressy*, *Zeitungi* nie zagrzmią w surmy bojowe. I to niewątpliwie nastąpi. Nie artykuły dziennikarskie uzbroiły Europę i nie artykuły ją rozbroją.

Brzydka gra nie udała się wstecznikom niemieckim, t. z. partyi „chrześciańsko-socyalnej,“ której bandytuje słynny żydożerca i kaznodzieja nadworny. Gdy choroba następcy tronu wydawała się nieuleczalną, ćmy tego gniazda zaczęły krążyć około jego syna, ks. Wilhelma, który podobno ma sprzyjać ideałom polityczno - społecznego mroku. Odbywano narady, układano plany rządów przyszłego cesarza, słowem, pracowano w kuźni tajemnej, jak gdyby biedny skazaniec na śmierć w San Remo już kładł się pod mogiłę. Tymczasem ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich a niezadowoleniu intrygantów uczuł on znaczną ulgę a wreszcie odzyskał nadzieję zupełnego powrotu do zdrowia. Nagła ta zmiana przeraziła stado kruków pewnych zdobyczy, które rzuciły się do ucieczki, ale ich schwytano i pokazano narodowi. Dotąd toczy się walka w gazetach niemieckich o tę niecną robotę, która tak sromotnie chybiła celu i przy której czynne ręce w porę przyłapano.

Parlamenty świętują, prasa więc tylko rozrabia zapowiedziane przedmioty ich obrad. Projekt pomnożenia armii niemieckiej, chociaż odpoczywa w komisyi dla przyzwoitości, niewątpliwie przejdzie nienaruszony, ażeby tem wymowniej ozdobić „pokój.“ Natomiast wymaganie pięcioletniej ustawy przeciw socyalistom z dodanem do niej prawem wydalania ich z granic państwa napotyka na opór, gdyż niektóre posłuszne rządowi stronnictwa obawiają się swoich wyborców. Narodowo-liberalni zgodziliby się na taką ustawę, gdyby przynajmniej o potrzebie wygnania wyrokował sąd, a nie organy administracyjne.

W Serbii dokonał się znowu przewrót: ustąpił Ristic, przyjazny Rosyi, a przewodnictwo w gabinecie objął Gruicz, z partyi radykalnej. Odmiana ta wyraża pochylenie się ku Austryi i niewątpliwie ma związek z ogólnym układem stosunków politycznych środkowo-wschodniej Europy. Król Milan oświadczył, że na wypadek starcia żywiołu germańskiego ze słowiańskim, Serbia powinna zapomnieć o swych związkach plemiennych i pozostać obojętną. Oświadczenie to bardzo się nie podobało panslawistom.

Młodoczesi (a właściwie *Narodni listy*) przeciwnie, zalecają kierować się słowiańskością i kreślą nawet postać sojuszu, ale taką, że *Now. Wremia* radzi im zrzec się ideologii i pamiętać, że Rosya dla niej swych interesów nie poświęci. Przestroga zrozumiała.

Książe Koburski siedzi cicho, chociaż gazety niemieckie osadziły go znowu na rożnie i przypiekają mocno. Między innemi uszczypnięciami *Nordd. Allg. Ztng* zwróciła uwagę, że *Almanach* gotajski niesłusznie przyznał mu tytuł: „królewskiej wysokości,“ gdyż książe dotąd nie został zatwierdzonym przez Portę i mocarstwa traktatowe.

BADANIA NAUKOWE.

RZECZ O SOCYALIZMIE.

I.

Rząd robaków — powiada dowcipnie Haeckel — jest śmietniskiem, do którego rzuca się niższe jestestwa, niepoddające się łatwemu wyznaczeniu pokrewieństwa; podobnież nazwą socyalizmu chrzci się najodmienniejsze prądy, stojące często na przeciwległych biegunach dążeń społecznych. I przeciwnicy, niezdający sobie sprawy z istoty [illegible] poglądów, i niedouki socyalizmu, uwielbiający w nim przede wszystkiem jedno źródło przygód romantycznych, pospołu okłamują publiczność. Czytelnik zrozumie przeto, z jaką ciekawością wzięliśmy pracę p. Trepki *), obie[illegible]

*) *Rzecz o socyalizmie*, tomów 2. Warszawa, 188[illegible]

1)

Z dziennika Goncourtów.

I.

1862. 15 lutego. Siedziałem w księgarni France'a na bulwarze Woltera. Wszedł jakiś jegomość z zamiarem kupienia książki; targował się o nią długo, wyszedł, wrócił i znowu się targował. Był to otyły mężczyzna, z twarzą kwadratową i ruchami handlarza koni. Zostawił swój adres, z prośbą o odesłanie książki: M*** w Rambouillet.

— Ah! — rzekł księgarz, zapisując— byłem tam w roku 1830 z Karolem X.

— A, i ja byłem tam — odparł gruby jegomość. Miałem nawet jego ostatni podpis. Na dwadzieścia minut przed przybyciem deputacyi rządu tymczasowego... Miałem tam swój kabryolet... Ah! biedak bardzo potrzebował pieniędzy... Sprzedawał srebra, i dziedzictwo sprzedał je nie drogo... Dałem dwadzieścia trzy tysiące franków, a dostałem dwadzieścia pięć... Gdybym był przyjechał trochę wcześniej... Wtedy sprzedał ich już za dwieście tysięcy... No, ale miałem do wyżywienia pięć tysięcy gąb... jego gwardyę. Byłem bowiem dostawcą.

— No — zawołał księgarz, w takim razie kiepsko i nas pan żywił... Przypominam sobie nawet, żeśmy raz we wsi musieli zabić jakąś lichą krowinę!

Traf postawił dwu tych ludzi twarzą w twarz, starego żołnierza Karola X i liweranta, który zbogacił się na nieszczęściu króla i zakupił zastawę dogorywającego monarchy: żołnierz — biednym księgarzem; dostawca — opasły i rozwalony mieszczanin, oddychający zadowoleniem i pomyślnością.

Ciekaw byłem, jaką książkę kupił: była to *Historya zbrodni papiezkich*.

— Najbardziej znamiennym rysem kobiety, która splamiła się aż do prostytucyi— jest bezosobowość. Przestała ona być osobistością, nie jest już nikim, ale poprostu jednostką w stadzie. Zatraciła poczucie i własność swojego „ja,“ do tego stopnia, że w domach grubszej marki istotom tym nie czyni różnicy, z czyjego talerza palcami wygrzebują strawę.

Piątek 21. Obiadujemy razem z Flaubertem u Charles Edmond'a. Rozmowa przeszła na romans Flauberta z panią Colet. Flaubert oświadcza, że historya albumu w dziele jego *Ona i on*, jest całkiem fałszywą. Ma nawet kwit na ośmset franków. Ani śladu rozgoryczenia, ani śladu żalu nie zostało w nim dla tej kobiety. co, zdaje się, upajała go swą wściekle szaloną miłością. Jest w naturze Flauberta jakieś upodobanie do kobiet, strasznych w swej namiętności i uniesieniach, kobiet, których jak gdyby zadaniem jest zmęczyć miłość naszą wielkiemi wzruszeniami, brutalnymi zachwytami, gwałtownem upojeniem.

Razu pewnego przyszła czynić mu w[illegible]rzuty i złorzecząc odprowadziła aż pod dach jego matki i w obecności jej żądała objaśnień. Odtąd też matka nazawsze w głębi duszy swej zachowała, jakby ranę zadaną jej płci—pamięć okrucieństwa syna dla kochanki.

— Był to jedyny czarny punkt pomiędzy moją matką a mną!“ — zawołał Flaubert.

Bądź co bądź, przyznaje, iż kochał tę kobietę szalenie — tak dalece, że raz już bliskim był zabicia jej; o tyle bliskim, że gdy podchodził ku niej, miał jak gdyby halucynacyę przyszłej swojej kary: „Tak, tak, czułem, jak podemną trzeszczy ława oskarżonych!“

Dodał, że jeden z jego dziadów miał za żonę kanadyankę. I rzeczywiście we krwi Flauberta odzywa się czasami czerwonoskóry ze swemi dzikiemi namiętnościami.

Poniedziałek 3 marca. Śnieg prószy. Bierzemy dorożkę i jedziemy do Teofila Gautier, na ulicę Longchamps nr 32, w Neuilly, i zabieramy z sobą rękopis *Sztuki w naszym wieku.*

Jest to ulica, zabudowana nędznemi [illegible] wiejskiemi domostwami, [illegible]de z d[illegible] [illegible]cem pełnym drobiu, z [illegible]carnią. [illegible] drzwi zdobi miotełka z czarnych pió[illegible] na podobieństwo owych okolic wiel[illegible]skich, które maluje zwykle Hervie[illegible] stycznie - brudnym pędzlem. Wch[illegible] w bramę tynkowanego domu i oto je[illegible] u sultana z epitetu. W salonie mebl[illegible] czerwonym adamaszkiem, na drzew[illegible] złe[illegible]

cującą, iż „z latarnią krytyki historycznej“ zbada przeszłość tych teoryj i wyszuka „dokumenty do oceny dążności teraźniejszych.“

Życie społeczne znajduje się w ciągłym rozwoju, lecz zawsze w okresie historycznym posiadało klasy wydziedziczone, jakkolwiek ich oblicze i losy wciąż się przekształcały. Na takiem ruchomem podścielisku wydziedziczenia, w połączeniu z antagonizmami klasowymi, pojawiają się krytyki, poruszenia i utopie społeczne, wiążące się nawzajem w jedną spójną całość, ukształtowaną odpowiednio do warunków materyalno-społecznych (sposobów produkcyi, szerokości stosunków wymiennych, form własności itd.) chwili. Tak, trybuni ludowi Rzymu wraz z rzeszą plebejuszowską, stosownie do ówczesnych sposobów produkcyi, marzyli o „wyrównywaniu“ własności ziemskiej; Plato kreśli rodowo-obywatelską organizacyę wojowniczą, żyjącą sokami pracującej większości i zamkniętą w obrębie Rzeczypospolitej miejskiej; Fourier wysnuwa kosmopolityczną federacyę falansterów z zrzeszoną produkcyą i równouprawnieniem wszystkich osobników. Kreślenie zarówno poruszeń masowych, jak i utopij sprowadza się ostatecznie do przedstawienia rozwoju kategoryj ekonomiczno-społecznych; utopie same rzadko wiążą się jedne z drugiemi, gdyż, będąc dzieckiem swego czasu, tylko w jego zakresie są zrozumiałe. Tymczasem p. T., zamiast wyjaśniania, na zasadzie warunków epoki, ukazywania się mrzonek społecznych, poprzestał na ich „treściwem skreśleniu historycznem.“ Przed oczami czytelników przesuwają się tylko utopiści — Plato, Morus, Campanella, S. Simon i in., lecz nadaremnie oglądamy się za przyczynami, dlaczego wyrośli w oznaczonym czasie i czemu takie i nie inne żądania leżą w podstawie ich rojeń. Autor trzyma się raczej poglądu, iż wszystkie te płody są tworami rozbujałej fantazyi, kształtującymi się jedne na drugich. I nie dziw, że w pracy jego nie widać czynnych żywiołów, których ideologicznym towarzyszem są owe rojenia. Tak, p. T., który przypisuje „obecnemu“ socyalizmowi dążności do równego podziału majątków, nie zauważył jakoś, iż w takim razie trybunał ludowy Rzymu byłby instytucyą... socyalistycznego ducha; mimo iż z Bismarka czyni współwyznawcę krytykowanego kierunku, nie wie również, że „żelazny“ kanclerz miał już poprzednika w — Cezarze, jak o tem rozszerza się Rodbertus; w epoce Morusa po za nim nie dojrzał energicznej postaci Münzera i nie spostrzegł, iż sekciarstwo średniowieczne było tylko religijną osłonką dla pokrewnych prądów; zatopiony w S. Simonie, nie zauważył czarnego sztandaru tkaczów lyońskich i zaprzepaścił gdzieś całe poruszenie czartystów, które choć dlatego zasługiwało-by na wzmiankę, iż wyłoniło teoretyków, stanowiących punkt wyjścia dla wywodów Marksa, i instytucye w rodzaju banków Proudhona. Zresztą i utopistów opracowano niedbale, zwrócono uwagę na punkty podrzędne, lecz nie potrącono o najważniejsze; przepuszczono Owena, tego bezwarunkowo najwpływowszego z marzycieli, a natomiast wysunięto miernoty w rodzaju Leroux. Co więcej p. T. walczy z nimi, jak gdyby przedstawiali poważnych przeciwników doby tegoczesnej! Rozumiemy jednak, iż w jego pojęciu to wywijanie orężem krytyki jest niezbędne; czytamy bowiem, iż „Plato według nowoczesnych socyalistów jest odpowiedzialnym ojcem ich teoryj,“ „dzisiejsi socyaliści podszywają się pod jego powagę,“ „teorye Campanelli wznowione zostały przed pół wiekiem przez socyalistów francuzkich, którzy ochotnie podszyli się pod powagę zakonnika włoskiego,“ „stał się on (Morelly) podstawą, na jakiej większa część komunistów i socyalistów naszego stulecia wzniosła budowę swoich utopij...“ Zaiste, szczodrobliwa wspaniałomyślność w obdarzaniu kogoś niewypowiadanemi roszczeniami!

Zresztą, zbyteczna zatrzymywać się nad krytyką utopistów ze strony p. T., gdyż daleko ostrzej, surowiej i z większą znajomością rzeczy wywiązał się z tego nowoczesny socyalizm najmicki, o czem p. T., zdaje się, nie wie. Zauważymy tylko, iż zrobił on z utopistów rzeczywiste śmietnisko, w którem spoczywają najodmienniejsze kierunki, wrogie sobie— obok solidarzysty Mablego indywidualista krańcowy Brissot itd. Lecz darujemy krytykowi nieznajomość utopizmu, bo grzebanie się w nim ma tyleż znaczenia dla rozbioru tegoczesnych wyjawów socyalistycznych, co studya nad gminami ascetów hebrajskich w celu zrozumienia obecnych niedomagań społecznych. Można-by bez uszczerbku opuścić całą tę przeszłość, poruszając, co najwyżej, poglądy trzech wybitnych marzycieli, jak S. Simon, Fourier i Owen, i to nie ze względu na ich mrzonki przyszłości, lecz dla historyozofii przeszłości i krytyki tegoczesności. Chwila dzisiejsza potrzebuje liczyć się tylko z wyjawami społecznymi teraźniejszości; ze strony zachowawczej są to: cezaryzm społeczno-państwowy (to określenie socyalizmu państwowege przez Rodbertusa uważany za najodpowiedniejsze) i społecznikostwo feodalno-cechowe, ze strony zaś przewrotowej indywidualizm anarchistyczny i kolektywizm społeczno-demokratyczny. Że jednak p. T. niedaleko poprowadzi czytelnika, dowodzi i niewyróżnianie wrogości wzajemnej tych różnych kierunków i traktowanie nowoczesnego socyalizmu niezależnie od rozwoju ekonomicznego obecnej epoki i całe stronice ogólników w rodzaju następującego. Mamy na myśli skreśloną przez krytyka przeciwstawność pomiędzy ekonomią polityczną a socyalizmem. „Z dwóch czynników współdziałających w wytwarzaniu się bogactw, natury i człowieka, ekonomia polityczna przeważnie zajęła się pierwszym... zdawało jej się, iż jej nie przystoi schodzić z Olimpu do drobnych praktycznych kwestyj... wykluczała ze swego programu reformy społeczne.“ Tymczasem „socyaliści“ mieli stanąć na przeciwległym krańcu: „uważali za pedanteryę badać naturę wartości i kapitału, jego fazy przejściowe i ostateczne formy; po prostu, chcieli uczynić je dostępnemi masom.“ Ktokolwiek bliżej zna i ekonomię i socyalizm, w zdaniach p. T. z trudnością doszukiwać się będzie prawdy. Teoretycy czartyzmu i ich poprzednicy, których wyliczenie zajęłoby według Engelsa aż 4 stronice, Proudhon po części, Rodbertus i Marks bez ustanku mówią jedynie tylko o naturze, fazach i formach wartości i kapitału! Zdaje się, iż Dühring zarzuca im z tego powodu niezmierną oschłość... Zresztą, „obecna“ ekonomia polityczna, „mająca po swojej stronie naukę, bezstronność i tradycyę,“ zmieniła „dawne“ stanowisko i dzięki temu pohamowała „socyalizm,“ który „nie marzy

---

cenia, styl ciężki, wenecki; na ścianie stare płótna szkoły włoskiej z ładnymi skrawkami żółtawych ciał; wyżej, nad kominkiem, lustro ze spełzłą polewą, zdobne w kolorowe arabeski i litery perskie, coś, co przypomina kawiarnie tureckie: jakaś wystawność uboga i łatanina, przywodząca na myśl wnętrze mieszkania starej, dymisyonowanej artystki.

Zapytany, czy mu nie przeszkadzamy:

— Bynajmniej — odpowiada — ja nigdy u siebie nie pracuję. Pracuję tylko w samym *Moniteurze*, w drukarni. Składają w miarę, jak piszę. Zapach farby drukarskiej to jedyny bodziec, który robotę moją pcha naprzód... Nie potrafiłbym napisać jednego romansu inaczej, jak tylko w ten sposób, że zecer pracuje równocześnie ze mną, składając po dziesięć wierszy, które mu daję... Kilka razy już kazałem urządzać sobie pracownie, ale to na nic się nie zdało, nic zrobić nie mogłem. Muszę mieć zawsze dokoła siebie ruch. Potrafię pisać tylko w rozgardyaszu, tak iżbym, zamknąwszy się, nie czuł owiewającego mię smutku samotności...

Stąd przeszedł Gautier na temat *Królowej Saby*, którą zaczął krytykować. A gdyśmy wyznali naszą zupełną ignorancyę, pełną głuchotę na muzykę, i że co najwyżej lubimy wojskową:

— Ah, to mię bardzo cieszy — zawołał— że tak mówicie!.. Tak samo i ja. Przekładam zupełną ciszę nad muzykę. Ponieważ część mego życia przebyłem ze śpiewaczką, doszedłem do tej wysokiej doskonałości, że mogę odróżnić dobrą grę od złej, ale ostatecznie jest mi to wszystko jedno. W każdym razie rzecz szczególna, że wszyscy pisarze naszych czasów mają tę samą odrazę. Balzacowi muzyka sprawiała obrzydzenie. Hugo nie mógł jej znosić. Nawet Lamartine, ten fortepian do sprzedania lub do wynajęcia, żywił dla niej uczucie zgrozy... Jest zaledwie kilku malarzów, którzy ją lubią. W muzyce doszli teraz do jakiegoś zabójczego gluckizmu; są to wszystko rzeczy szerokie, powolne, rozlazłe, które w końcu przechodzą w pełny śpiew... Ten Gounod — to czysty osioł. Są tam w drugim akcie chóry żydówek i sabejanek, które trajkoczą nad sadzawką, zanim sobie umyją... oczy. Chór to w rezultacie niezły, no, ale na nim się wszystko zaczyna i kończy. A gdy zasłona spada, cała sala oddycha i słyszysz ogólne: ah! —jakby po zrzuceniu ciężaru; takiem świństwem jest reszta... Verdi, pytacie, co to za jeden? Otóż Verdi to nasz Dennery, Guilbert de Pixerecourt. Wiecie, co za myśl miał w muzyce? Gdy słowa były smutne, wtedy z *tra, tra, tra*, zrobił *tru, tru, tru*...

Teraz znowu zaczął się skarżyć Gautier na czasy:

— A może to i dlatego, że się już starzeję. Ostatecznie jednak w dzisiejszej epoce brak nam powietrza. Tu nie chodzi tylko o skrzydła, ale przedewszystkiem o powietrze... ja się już nie czuję współczesnym... Tak w roku 1830 było przepysznie, ale cóż, kiedy wówczas byłem o dwa, trzy lata za młody. Nie wciągnięto mnie w pełny prąd — bom nie był jeszcze dojrzał. Gdybym nie to, byłbym może co innego stworzył...

Wreszcie zaczęliśmy gawędzić o Flaubercie, o jego sposobie pisania, wytrwałości, siedmiu latach pracy, nad książką z 400 stronic złożoną:

— Wyobraźcie sobie — woła Gautier — że w tych dniach rzekł do mnie Flaubert: „Zbliżam się do końca, zostaje mi do napisania nie więcej jak dziesięć stronic, no ale mam już wszystkie zakończenia frazesów.“ A zatem ma już muzykę spadku swoich zdań, których jeszcze nie ułożył! Ma już końcówki — no, czyż to nie zabawne, powiedzcie sami?... Co do mnie, to myślę, że w frazesie starać się trzeba przedewszystkiem o *rytm dla oka*. Naprzykład, zdanie z długim początkiem nie powinno się kończyć nagle, miałko, a w żadnym razie efektem niespodziewanym. Następnie ten rytm Flaubertowski może co najwyżej służyć jemu samemu; dla nas zaś zanika całkiem. Nie po to pisze się dzieło, by je czytać na głos; Flaubert zaś swoje wykrzykuje sobie samemu. Są więc w jego stylu efekty wrzasku, które jemu wydają się harmonijnymi, ale żeby modz je odnaleźć i odczuć, potrzebaby je wywrzaskiwać. Toć i my przecież, wy w swej *Wenecyi*, ja zaś — w mnóstwie rzeczy, ogólnie znanych—mamy stronice tak samo rytmowane, jak i jego, ale nas one tyle nie kosztowały.

W gruncie rzeczy, nieborak ma zgryzoty, które mu zatruwają życie i doprowadzą go chyba do mogiły. Wy go nie znacie; otóż gryzie się, że w *Pani Bovary* zgromadził na

już o zdruzgotaniu kapitału... w jego oczach klasy wyższe nie są już ohydnymi pasorzytami, wyzyskiwaczami pracy" (p. T. potem sam temu zaprzecza, co wogóle często mu się zdarza).

Nie zapuszczając się za autorem w labirynt nazw, w którym wszystko znajdziemy prócz rzetelnego przedstawienia sprawy, wykażemy znajomość przedmiotu, o którym podjął się napisać aż dwa tomy, na przykładzie Rodbertusa i Marksa. Każdy przyzna, iż stawiamy wymagania minimalne. Autor Rodbertusowi, temu „pierwszemu poważnemu" teoretykowi (a czartystowscy ekonomiści, np. Hopkins, Thompson i in.?), poświęcił aż — niecałe dwie stronice, wówczas gdy Plato, Rousseau zajęli po rozdziale! Dowiadujemy się, jako ów ekonomista (musimy przyznać mu to miano mimo przytoczonych zapatrywań p. T.) napisał w swych dobrach „po 1848 r." (szkoda, iż p. T. nie poinformował się dokładniej!) szereg ekonomicznych studyów, „zebranych razem"(?) pod tytułem *Zur Erklärung der sozialen Frage* (zauważymy, iż bibliografia nie zna takiego dzieła!), lecz nabyły one znaczenia, dopiero gdy między innymi Lassalle i Marks (?!) poczęli się żywić zawartym tu dobytkiem. Teoryę Rodbertusa streszcza krytyk na 42 wierszach, w tem zaś sprawozdaniu ów uczony przyznałby się zaledwie do jednego tylko posądzenia, wspólnego mu i z L. Blancem i i Marksem i in. Otóż, przypisuje mu krytyk, iż podstawą jego teoryi jest oddawanie „przewagi" pracy „ręcznej" (chyba fizycznej!) wśród żywiołów składowych „produkcyi" — pogląd sprzeczny z wszystkimi wywodami praktycznymi nietylko Rodbertusa, ale całego socyalizmu najmniejszego; każe mu „za nic uważać ziemię, za nic siły przyrody, za nic wynalazek, twórczą ideę, za nic kapitał nakładowy" i stawiać „jako jedyny czynnik, wytwarzający wartości i dobra pracę ręczną robotnika" — zdanie, jak najniesłuszniejsze w odniesieniu do „dóbr" i wymagające rdzennej poprawki co do „wartości;" pozwala mu rozumować, jako klasa robotnicza zyskuje na wzrastającem pod jej rękami bogactwie tylko w ten sposób, iż ceny przedmiotów fabrycznych zniżają się i przeto umożliwiają jej większe wygody; tymczasem Rodbertus drukował w swych pracach dużemi czcionkami zdanie, iż w miarę wzrostu wytwórczości i obniżenia ceny przedmiotów, rozmiary pracy spadają proporcyonalnie, co więcej, na tej zasadzie opierał wszystkie reformy społeczne (wprawdzie Rodbertus mówi o stałości poziomu płacy, lecz wyrażonej w środkach niezbędnych do życia; p. T. zrobił z tego stałość jej pieniężnego wyrażenia); zarzuca mu, jakoby wystawiał postulat podwyższenia płacy, wówczas gdy Rodbertus żądał jedynie uregulowania jej proporcyonalnie do wzrostu wytwórczości! Wówczas gdy „socyalizm naukowy" zarzuca Rodbertusowi pogrążanie się w drobiazgach praktycznych przyszłości, p. T. posądza go o brak tychże! O tem, że Rodbertus był jednym z energiczniejszych obrońców wielkiej własności ziemskiej, tak, iż powiadają, że usiłował znaleźć receptę, aby „junkier staro-pruski otrzymywał 20,000 i wydawał 30,000 marek bez zaciągania długów," oraz, że zwalczał polityczne prądy społeczno-demokratyczne, krytyk nic nie powiada. Dla p. T. jest to szermierz interesów robotniczych, wówczas gdy przedewszystkiem był to obrońca junkierstwa przeciw giełdzie i przemysłowcom. Po przeczytaniu ustępu o Rodbertusie, nasuwa się nam nieprzeparcie wniosek, iż p. T. nietylko nie zna prac ekonomisty niemieckiego, lecz nawet nie zadał sobie trudu korzystania z sumienniejszych opracowań o tym, przecież „pierwszym poważnym teoretyku."

(D. n.)

Ludwik Krzywicki.

NOWA TEORYA UCZUĆ.

I.

Kto czytuje *Revue Philosophique*, temu nazwisko Paulhana jest dobrze znanem. Zamieszczane w tem piśmie jego artykuły odznaczają się gruntownością i bystrością, znamionującą umysły wyższe. Jakoż, bez zaprzeczenia, należy on do wybitniejszych filozofów francuzkich nowego pokolenia. Wyznawca teoryi rozwojowej, gorliwy zwolennik metody doświadczalnej, umie w każdem zagadnieniu, które porusza, zachować stanowisko samodzielne. Obszerna erudycya nietylko mu w tem nie przeszkadza, lecz, przeciwnie, dostarczając obfitego materyału faktycznego, pozwala mu oryginalne poglądy za pomocą licznych przykładów wyjaśnić i uzasadnić. Na nieszczęście samodzielność ta nie zawsze u niego bywa istotną. Polega ona nierzadko na nadawaniu nowej formy starym rzeczom, na odmiennem umotywowaniu poglądów, oddawna znanych i — zapomnianych. Za wzór takiej pozornej oryginalności można uważać dziełko Paulhana, wydane przed kilku miesiącami pod nagłówkiem: *Les phénomènes affectifs et les lois de leur apparition*. Ma to być pierwsza część psychologii ogólnej, której zadaniem jest wyjaśnienie natury zjawisk psychicznych i praw niemi rządzących.

Jeżeli po kim, to po Paulhanie można było spodziewać się, że naukę o uczuciach, tak słabo dotąd opracowaną, tyle nastręczającą niepewności, obrobi z właściwą mu gruntownością i ustali zasady, które wprawdzie inni już wygłosili, ale bądź niedokładnie je sformułowali, bądź nie oparli na podstawach rzeczywistych. Można było oczekiwać, że zająwszy stanowisko, wskazane przez Bouilliera i Dumonta, jedynych we Francyi przedstawicieli fizyologicznej teoryi uczuć, teoryę tę, która, jak dotąd, jest najprostszą i najdokładniejszą, uzasadni gruntowniej i pełniej rozwinie. Tymczasem wbrew wszelkim oczekiwaniom, Paulhan, zamiast stanąć po stronie teoryi, która ma za sobą największe prawdopodobieństwo i najwyższe powagi naukowe, oświadczył się za doktryną, którą oddawna uznano za sprawę straconą i która w szeregu swych obrońców nigdy nie liczyła geniuszów. Stąd powstała książka, która pod względem obrobienia szczegółów w niczem nie ustępuje poprzednim jego pracom, ale której zasadnicza myśl nietylko nie jest nową, ale, co gorsza, fałszywą i w prostej konsekwencyi wiodącą do jaskrawych paradoksów.

Revue Philosophique, zdając sprawę z dzieła Paulhana, powiada: „Poglądy głębokie i słuszne, ogromna ilość faktów trafnie dobranych, zanalizowanych ściśle i wytłomaczonych często z wielką przenikliwością

---

jednem miejscu aż dwa rodzajniki: *Korona z kwiecia pomarańcz*. To go czyni niepocieszonym; ale daremnie łamałby głowę, inaczej wyrazić się niepodobna było... Może chcecie obejrzeć mój dom?

I powiódł nas do pokoju stołowego, w którym jadają śniadanie jego córki, potem na górę do niewielkiej pracowni, skąd widać ogród, a w nim nędzne drzewiny i kwadratowe zagony warzyw. Tam też pokazał nam dary, ofiarowane mu jako krytykowi przez rozmaitych artystów; biedne dary, świadczące o całem skąpstwie, ba, sknerstwie tego świata sztuki względem człowieka, który tylu im dźwignął w fejletonach swych piedestały, i nadał rozgłos nieznanym ich imionom protektoratem pięknych swych frazesów i tak malowniczymi opisami.

— Najbardziej subtelnym krytykiem ośmnastego stulecia jest chyba Flaubert, tak, ten śmieszny ksiądz, co wynalazł następującą definicyę Woltera: „doskonałość miernoty;" on też miał odwagę stawiać La Bruyer'a wyżej, niż Moliera.

Czwartek, 27 marca. Środopoście. Obiadujemy u pani Desgrauges. Jest tam Teofil Gautier z córkami, Peyrah, jego żona i córka Gaiffa i jeden z owych przykładów, żyjących zdaje się po to, żeby stanowić czternastych członków towarzystwa.

Córki Gautiera posiadają szczególny czar, rodzaj jakiejś wschodniej *langueur*, omdlałości rozkosznej, powłóczyste spojrzenia i głębokie oczy, ocienione przepysznemi, ciężkiemi rzęsami, jakieś lenistwo ponętne, harmonię gestów i ruchów, odziedziczoną po ojcu, ale którą wydelikaciła i wypiękniła gracya niewieścia. Nie jest to urok całkiem francuzki, ale jakaś mięszanina najrozmaitszych pierwiastków francuzkich, trzpiotostwa nieco męzkiego, słów kawalerskich, drobnych minek i grymasów, wzruszania ramionami, ironii, ilustrowanej wymownymi ruchami dziecka. Wszystko to czyni z nich istoty całkiem różne od innych dziewcząt, śliczne istotki, pełne indywidualności, które swobodnie i w sposób niemal jawny okazują swe sympatye i antypatye. Dziewczęta te wnoszą w świat swobodę mowy i wyzywającą postawę kobiet, których twarze kryją maski; w gruncie jednak są naiwne i niewinne, pełne życzliwego wylania, jakiego u innych daremnie szukać!

Jedna opowiada mi o pierwszej swej namiętności w klasztorze, o pierwszej miłości dla jaszczurki, która patrzyła na nią swemi słodkiemi i *ludzkiemi* oczkami. Jaszczurka ta ciągle siedziała na niej i co chwila wysuwała główkę z za stanika, żeby spojrzeć na nią i znikała. Jakaś zazdrosna koleżanka zgniotła biedne stworzonko, które wlokąc za sobą swe wnętrzności, przyczołgało się do swej pani, by umrzeć przy niej. Wyznała mi otwarcie, że wykopała biedaczce grób, na którym postawiła maleńki krzyżyk, i że odtąd nie umiała już ani modlić się ani uczęszczać na mszę; że wreszcie religia zamarła w niej; do takiego stopnia serce dziecięce oburzało się na niesprawiedliwość tego zgonu.

— Dziecię nie jest złem dla człowieka: jest złem dla zwierząt. Człowiek starzejąc się, zaczyna być mizantropem a dla natury miłosiernym.

29 marca. Flaubert siedzi na swojej sofie, z nogami skrzyżowanemi po turecku. Mówi o swoich projektach, ambicyach i planach nowych romansów. Zwierza się nam z wielkiego zamiaru, niezaniechanego dotychczas — napisania książki o Wschodzie współczesnym, Wschodzie w żałobnej szacie. Ożywia się cały na myśl o kontrastach, jakie talent jego nagromadziłby w tym szpargale. Byłyby tam sceny, rozgrywające się w Paryżu, sceny rozgrywające w Konstantynopolu, sceny na wybrzeżach Nilu, sceny hypokryzyi europejskie, dzikie sceny sądów przy zamkniętych drzwiach, topienie żywcem i ścinanie głów za jedno podejrzenie, w napadzie złego humoru: byłoby to dzieło, przypominające, według jego porównania, owe okręty, gdzie na pokładzie stoi turek ubrany przez Dusantoy, a na dole z tyłu okrętu, harem turka, że wszystkimi rzezańcami i całą dzikością obyczajów starego Wschodu.

Flaubert weseli się i raduje na myśl, iż malować będzie wszelkie łotrostwa europejskie, greckie, włoskie, żydowskie, które obracać się będą dokoła bohatera — i rozwodzi się nad ciekawemi przeciwstawieniami, jakie stworzy tu i owdzie cywilizujący się mieszkaniec Wschodu i europejczyk, powracający do stanu dzikości, na podobieństwo owego chemika francuza, co to osiedliwszy się na granicach Libii, nie zachował nic ze zwyczajów i obyczajów swej ojczyzny.

umysłu, czynią pracę jego zajmującą dla tych nawet, którzyby radzi byli odmówić zasługę nowości ogólnemu i ostatecznemu prawu, jakie on wyprowadza ze swych obserwacyj.“ Zdanie to uznaję za słuszne z zastrzeżeniami, które powyżej wypowiedziałem. W uzasadnieniu swych poglądów i przeprowadzeniu całej teoryi jest on tak zręcznym dyalektykiem, iż narazie niepodobna oprzeć się jego rozumowaniu, tem bardziej, że na pomoc powołuje całe zastępy faktów, które pozorną swą słusznością wzmacniają złudzenie, nadając jego twierdzeniom charakter nieomylności.

W przeprowadzeniu swej teoryi trzyma się on ściśle metody doświadczalnej; z tem wszystkiem teorya ta w głównem swem założeniu jest natury czysto apriorycznej, jest wnioskiem dedukcyjnym z przypuszczeń, których należałoby wprzód dowieść.

Przedewszystkiem wiedzieć potrzeba, że autor należy do idealistów, w rodzaju Milla, nieprzyjmujących substancyalności bytu. Podług niego umysł i fizyczny organizm są dwoma szeregami faktów, wprawdzie równoległych względem siebie, ale niezostających w stosunku przyczynowym. Opierając się na twierdzeniu Ribota, wypowiedzianem w dziełku *Choroby osobowości*, że „każda czynność umysłowa każe przypuszczać odpowiednią jej czynność fizyczną; ale nie każdej czynności fizycznej towarzyszy czynność umysłowa — dochodzi do wniosku, że świadomość nietylko jest czemś dodatkowem, ale nadto w sprawie rozwoju świata organicznego zgoła bezużyteczną. „Zjawiska świadomości — powiada on — nie odgrywają żadnej istotnej roli w dziele przystosowywania organizmu i usystematyzowania jego narządów zapomocą układu nerwowego.“ Przystosowanie to bowiem i usystematyzowanie dokonywa się bezwiednie zapomocą odruchów, wywoływanych przez wrażenia, wywierane na organizm przez warunki otoczenia. O ile z napomknień autora można wnosić, przypuszcza on, że zczasem świadomość, jako całkiem bezużyteczna, zniknie. Przypuszczenie to zresztą jest logiczną koniecznością jego zapatrywania na sprawy umysłowe. Powiada on wyraźnie: „Ponieważ automatyzm zupełny zdaje się być stanem doskonałym, idealnym organizmu, przeto zjawisko rozumowe, myślenie, jest wskazówką lekkiego zaburzenia, braku usystematyzowania względnie nieznacznego; gdy tymczasem zjawisko uczuciowe jest wyrazem zaburzenia głębszego, większego braku usystematyzowania i harmonii...“ Jeżeli bowiem myślenie i uczucie są bezpośrednim skutkiem niedoskonałego usystematyzowania organizmu, bo w miarę, jak to usystematyzowanie będzie osiągało wyższy stopień jedności, zanikać muszą powoli myślenie i uczucie, aż w końcu dojdzie człowiek do tej doskonałości, że stanie się zupełnym automatem, w którym bezpośrednio po każdem wrażeniu będzie następowało działanie bezwiedne.

Takie są przesłanki, z których autor konsekwentnie wyprowadza całą swą teoryę.

Zastanówmy się nad niemi.

Że organizm żyjący w swych cechach gatunkowych jest przeważnie wytworem bezwiednego przystosowania — na to potrzeba się zgodzić. Pozostaje atoli do dowiedzenia jeszcze, czy cechy indywidualne, będące nabytkiem świadomego przystosowania, nie biorą także czynnego udziału w sprawie rozwoju organizmów, zapomocą dziedziczności. O prawach dziedziczności tak mało jeszcze dziś wiemy, że trudno tu coś podobnego powiedzieć. Bądź co bądź, Darwin uważa instynkt jako uorganizowane doświadczenie przodków. Na zarzut, że nabytki intelektualne nie odziedziczają się, możnaby odpowiedzieć, że nabytki te odziedziczają się nie jako czynności, ale jako uorganizowane uzdolnienie do nich. Wiadomo z historyi, że rozwój organu zależy bezpośrednio od jego czynności. Z drugiej strony, gdyby świadomość nie odgrywała żadnej istotnej roli w sprawie organizmów, nie mogłaby ona rozwijać się i mózg, który jest jej organem, z powodu swej nieczynności musiałby dawno zaniknąć.

Nie ulega dziś wątpieniu, że czynności umysłowe tak samo, jak i cielesne, są natury odruchowej i że w podstawie swej myślenie, uczucie i wola są automatyczne. Dla tego też każdy organizm żyjący, a tem samem i człowiek w gruncie rzeczy nie jest czem innem, jak automatem, ale, według wyrażenia Huxleya, automatem świadomym. Świadomość uważana nawet jako coś dodatkowego (powiada Ribot) nie jest przecież czemś przypadkowem i bezużytecznem, niepozostającem w żadnym koniecznym związku z odpowiadającemi jej zjawiskami fizycznemi. Czem jest świadomość, trudno dziś na to odpowiedzieć; w każdym razie jest ona własnością pewnych czynności mózgowych, tych mianowicie, które zachodzą w szarej masie korowej. Nie znając jej istoty, znamy przynajmniej warunki jej objawiania.

Wiadomo nam z fizyologii, że organem czystego, zupełnego automatyzmu jest rdzeń pacierzowy i ośrodki na dnie mózgu znajdujące się; automatyzmu zaś zmodyfikowanego przez świadomość, niezupełnego jest masa korowa półkól mózgowych. Śledząc postępowy rozwój organizmów żyjących, przekonywamy się, że im który jest bardziej usystematyzowanym, lepiej przystosowanym, tem też ośrodki automatyzmu świadomego są u niego bardziej rozwinięte i mają większą przewagę nad ośrodkami automatyzmu doskonałego. Prosta więc logika każe nam uważać świadomość za produkt rozwoju organicznego tak samo, jak i mózg, którego ona jest objawem. Będąc koniecznem następstwem rozwoju, musi być również koniecznym czynnikiem, inaczej nie mogłaby równomiernie z nim rozszerzać się i pogłębiać, lecz przeciwnie musiałaby zniknąć. Podług autora jedyna użyteczność świadomości polega na tem, że służy ona za narzędzie obserwacyi psychologicznej. Jeżeli to ma być wyłączna jej czynność, to usprawiedliwia ona istnienie jej i rozwijanie się w ludzkości; ale w takim razie czemże usprawiedliwić jej istnienie w zwierzętach? Wszak one nie zajmują się badaniami psychologicznemi! Zresztą, będąc narzędziem obserwacyi wewnętrznej, czyliż przez to samo nie jest ona istotnym czynnikiem w sprawie przystosowania? Sam autor zaznacza, że przystosowanie dokonywa się w dwóch kierunkach: z jednej strony organizm ludzki przystosowywa się do świata zewnętrznego, z drugiej przystosowywa on świat zewnętrzny do siebie. Otóż owocem przystosowania świata zewnętrznego do człowieka, do jego potrzeb, są urządzenia społeczne, nauka, sztuka, przemysł, które, chociażby w zaczątkach swych były produktem przystosowania bez-

---

Od książki tej, której szkic błąka się już po jego mózgu, Flaubert przechodzi do innej, której pomysł oddawna już podobno pieści: ma to być ogromny romans, wielki obraz życia, osnuty na akcyi, któraby przedstawiałaby unicestwienie jednych przez drugich w społeczeństwie opartem na stowarzyszeniu trzynastu. Ujrzanoby tam, jak przedostatniego z ocalałych, męża stanu, ostatni, dostojnik państwowy, za czyn szlachetny posyła na rusztowanie.

Flaubert pragnąłby także sfabrykować ze dwie lub trzy mniejsze powieści, bez sensacyjnych wątków, a prostej, niewyszukanej treści, którą stanowiliby: mąż, żona, kochanek.

Wieczorem, po obiedzie, jedziemy aż do Neuilly, gdzie mieszka Teofil Gautier. Choć już godzina dziewiąta, zastajemy go jeszcze przy stole, raczącego się lekkiem winkiem z Pouilly, które znajduje bardzo przyjemnem — w towarzystwie księcia Radziwiłła, bawiącego u niego. Gautier jest wesół, jak dziecko: jeden z wielkich powabów inteligencyi.

Wstają od stołu i przechodzimy wszyscy do salonu. Prosimy Flauberta, żeby zatańczył *Idyotę salonów*. Bierze więc kostium od Gautiera, nastawia kołnierzyk; ze swoich włosów, z figury, ze swojej fizyognomii robi coś, czegobym nie umiał nazwać ani określić i nagle przemienia się w jakąś straszliwą karykaturę tępoty. Z kolei Gautier, porwany chęcią współzawodnictwa, zrzuca swój tużurek i cały potem kroplistym oblany, mordując kolana ciężarem swego ogromnego... zaczyna wykonywać „*Pas wierzyciela.*“ Wieczór kończy się cygańskimi śpiewami, dzikiemi melodyami, których sykliwe tony przedziwnie bierze książę Radziwiłł.

30 marca. Drugie piętro nr. 2, ulica Racine'a. Mały jegomość, podobny do tysiąca innych, otwiera nam drzwi i mówi z uśmiechem: „Ach, panowie Goncourt!“ — poczem wprowadza nas do wnętrza i oto jesteśmy w obszernej bardzo komnacie, w rodzaju pracowni.

Naprzeciw okna w głębi, przez które wpada zmierzchający się już dzień, widać odwróconą plecami do światła, rysującą się na tle bladego zmroku sylwetkę szarą kobiety. Nic podnosi się wcale i siedzi nieruchoma, pomimo iż witamy ją słowem i ciałem. Tym cieniem siedzącym, z miną głęboko senną, jest Jerzy Sand, a jegomość, który nam drzwi otworzył, to rytownik Manceau. Pani Sand ma wygląd automatu. Mówi głosem monotonnym i mechanicznym, który nie podnosi się ani spada, ani się ożywia. W jej postawie jest jakaś powaga, jakiś spokój, coś w rodzaju pół-snu przeżuwającego zwierzęcia. A ruchy powolne, ruchy, rzec możnaby, lunatyka, ruchy, których stałem zakończeniem, przy wtórowaniu tych samych zawsze giestów systematycznych, jest pocieranie woskowej zapałki, wybuchanie małego płomyka i zapalanie się papierosa tuż przy wargach kobiety.

Pani Sand była bardzo uprzejma, pełna pochwał dla nas, ale też dziecinną jest w swych ideach, płytka w wyrażeniach i ma jakąś posępną dobroduszność, która mrozi jak nagie ściany pokoju. Manceau stara się trochę ożywić rozmowę. Rozprawiamy o jej teatrze w Nohant, gdzie dają przedstawienia dla niej tylko i jej pokojówki, trwające do godziny czwartej rano... Potem gawędzimy o jej zadziwiającej łatwości pisania; na co ona odpowiada, że nie jest praca *istotna*, skoro przychodzi z taką łatwością. Pracuje zwykle co noc, od pierwszej do czwartej, później opracowywa znowu w dzień, czemu poświęca jakie dwie godziny — i jak dodaje Manceau, który objaśnia jak przewodnik w muzeum osobliwości: „Jej nie czyni różnicy, że ktoś przeszkodzi... Wyobraźcie sobie panowie, że macie u siebie otwarty kran, ktoś wchodzi i wy go zamykacie... Zupełnie tak samo pani Sand. Tak — potwierdza pani Sand — nie gniewam się, gdy mi przerywają osoby sympatyczne, np. chłopi, którzy przychodzą ze mną pogadać...“ Tu maleńka nuta humanitarna.

Gdyśmy powstali, żeby ją pożegnać, wstała, podała nam rękę i odprowadziła do drzwi. Wtedy to mogliśmy widzieć trochę jej postać, dobrą, łagodną, spokojną, wygasłe rumieńce, ale rysy jeszcze delikatnie uwydatniające na tle cery bladej i zrównoważonej, cery koloru ambry. Jest wreszcie w tych rysach jakaś delikatność i subtelna rzeźba, której nie oddają wiernie jej portrety — te bowiem pogrubiły i zmężniły jej twarz.

(D. c. n.).

---

wiedzego, w dalszym swym rozwoju zostają pod bezpośrednim wpływem świadomości.

(D. n.).

W. Kozłowski.

LITERATURA I SZTUKA.

PO ŚWIECIE.

I.

Teorya rozwoju a biskupi. — Bakon w kryptogramie. — Muzeum szekspirowskie.

Dzielę się dziś z czytelnikami mymi radosną nowiną i weselszej chyba na „Gwiazdkę“ życzyć im nie mogłem: trzech biskupów angielskich przeszło na naszą wiarę — na wiarę zdrowego rozsądku. Stało się to wprawdzie już przed kilku miesiącami, ale dopiero teraz dowiadujemy się o tem iście epokowem zdarzeniu z artykułu prof. Huxleya w *Nineteenth Century* (listopad, 1887). Jest on odpowiedzią na broszurę: „*Postęp wiedzy*, trzy mowy wypowiedziane w katedrze w Manchester d. 4 września 1887 r., na meetingu brytyjskiego Towarzystwa zachęty wiedzy, przez biskupów Carlisle'a, Beoforda i bisk. z Manchesteru.“

Powiada tam biskup Carlisle: „Postęp wiedzy, postęp ludzkiej umiejętności są same w sobie godnym celem wysiłku największych umysłów.“ Trudno opisać uciechę czcigodnego profesora po takiem wyznaniu. Bardzo dowcipny, a teraz wprowadzony w najróżowszy humor, cytuje dalej: Biskup Belfordu, zaznaczywszy bez ogródki istnienie teoryi rozwoju i jej przykre następstwa, każe poważnie przeciw „zbyt pohopnemu oskarżaniu tego, co może niewątpliwie zawierać w sobie pewne elementa prawdy; pogardliwe odrzucanie teoryj, które my sami może będziemy skłonni kiedyś przyjąć tak ochoczo i tak bez poczucia obrazy bożych słów, jak dziś przyjmujemy teoryę obrotu ziemi lub długich peryodów geologicznych epok“ (str. 28).

Biskup z Manchesteru nakoniec przyznaje, że naturalne wypadki i moralne ciosy nie mogą liczyć się na karb moralnych sądów Boga, a nawet przypuszcza przystosowanie naukowej metody do badań początku i wzrostu religii, w którym to wzroście gotów dopatrzeć się procesu ewolucyi, jak w świecie fizycznym. Ta zuchwałość biskupa zbyt jest nieprawdopodobną, abyśmy nie mieli stwierdzić jej własnymi jego wyrazy: „Gdyby pierwotne religijne i moralne wyobrażenia nie były niedoskonałe, gdzieżby było doskonalenie się? Gdyby symbolizm mitycznego stworzenia nie był się uformował we wczesnem, wschodniem objawieniu bożej prawdy, gdzieżby było doskonalenie się? Dostateczną odpowiedzią na 99 między stoma zarzutami czynionymi Biblii, jako pamiątce boskiego wychowania naszej rasy, jest ten wyraz: doskonalenie.“

Jeżeli tak — woła prof. Huxley — możemy spisać traktat wieczystego pokoju i przymierza, ale — dodaje złośliwie — zdaje się, że wiedza nie wyjdzie z tej spółki z zyskiem, bo ma dać jeszcze może wiele, podczas gdy ze strony religii to będzie ostatnie możliwe ustępstwo. Sam więc inauguruje zgodę w sposób na pozór poważny, w gruncie humorystyczny. Biskup Manchesteru zdaje się przyznawać, że „panuje antagonizm między regularną ekonomią natury a regularną ekonomią modlitwy“ (str. 39) i że modlitwy o zerwanie boskiego naturalnego porządku są „wątpliwej skuteczności“ (str. 42). Prof. Huxley zamienia role i broni opuszczonej reduty: prawo natury — powiada — jest pojęciem, jakie wyrobiliśmy sobie na mocy indukcyi, z doświadczenia, więc ważne tylko o tyle, o ile sięga doświadczenia. Nikt więc nie może *a priori* twierdzić, aby cud był niemożliwy, ale wara mi rzec, że to lub owo zjawisko jest cudem, gdyż weń żadną wiarą nie uwierzę.

Bardzo też roztropnie ogranicza biskup Manchesteru skuteczność modlitwy do zmian, jakie następują w umyśle proszącego, w napięciu jego stanów moralnych i powielekroć kładzie nacisk na *czysto-duchową* (*purely spiritual*) wartość chrześciańskiej wiary.

Te ustępstwa naczelników ortodoksyjnego kościoła są faktem niesłychanego znaczenia; już i w Niemczech objawia się z dawna ochoczość pogodzenia się z ewolucyonistami. Co na to powie Południe? Oczywiście nadmie wargi i wyrzuci pogardliwe: Phu! Protestanci!..

W dalszym ciągu artykułu polemizuje prof. Huxley z innym biskupem bezimiennym, który mu zapowiedział w srogim liście, że „chrystyanizm zbudowany jest na cudach i runie, jeżeli prawdą jest, iż cuda są niemożebne“ — i siecze go niemiłosiernie; polemizuje dalej z księciem Argyllem o darwinowską teoryę wysp Koralowych. *Nineteenth Century* jest tem czasopismem angielskiem, gdzie roztrząsają się najżywotniejsze kwestye naukowe, polityczne, społeczne i gdzie na prośbę wydawców zabierają głos i wykładają swe teorye najzajadlejsi przeciwnicy, najskrajniejsze stronnictwa, począwszy od naczelników teoretycznej anarchii aż do teologów. Przykład do naśladowania.

W ostatnich dniach nie słyszy się w Anglii i nie czyta w pismach poważnych i humorystycznych, tylko o Ignacym Donellym i jego *Wielkim kryptogramie Bakońskim.* Jest to dalszy przyczynek do tej tajemniczej kwestyi szekspiro-bakońskiej, która od lat kilkudziesięciu niby upiorzyca wysysa zdrową krew uczonym i szperaczom, a duszenie jej i ucinanie głowy na nic się nie przyda, bo zmartwychwstaje uparcie. Nie potrzebuję powtarzać, że chodzi o podejrzenie autorstwa kanclerza Bakona w dramatach Shakespeara. Pierwsze podejrzenie objawił Horacy Walpole w *Wątpliwościach historycznych*; po nim Speding w *Życiu Bakona*; po nim *Dziennik edymburski*; amerykańska Miss Maria Bacon; Smith, sędzia z St. Louis; dr. Thompson z Melbourne; nareszcie w 1881 r. Appleton Morgan, wszyscy przeważnie amerykanie.

Nie wolno już mówić o tej hypotezie z lekceważeniem, skoro ułożyła się wkoło niej olbrzymia polemiczna biblioteka; ale szaleństwo Donellego posyła w kąt nawet obłąkaną z bakonizmu Miss Bacon. Wziął on pierwszą edycyę *in folio* z r. 1623 (raczej podobiznę, gdyż oryginalne wydania są dziś nader rzadkie), drukowaną w 7 lat po śmierci Shakespeara, a lat 5 przed śmiercią Bakona i zwróciwszy uwagę na pewne tajemnicze fakty, np. że niektóre wyrazy bez widocznej przyczyny tłoczone są kursywą, zaczął myszkować, kalkulować i doszedł, że pewne ważne wyrazy dadzą się odkryć, mnożąc liczbę stronicy przez liczbę wyrazów pisanych kursywą w pierwszej kolumnie. Tak biorąc stronicę 53 *Historyi* i mnożąc tę cyfrę przez 7, otrzymuje się 371. I oto 371 wyrazem jest wyraz *Bacon*! Tym samym sposobem wykrywa się wyraz Saint-Albans, inne nazwisko Bacona. Nie dość na tem... ma się taić w tych kryptogramach historya sekretnych rządów Elżbiety. A! tego już nadto było żartownisiom i *Punch* zaangażował kryptogramiczny potwór w swoje szpalty, po nim zaś nawet ludzie poważni sprzysięgli się nie brać sprawy na seryo, skoro w ostatnim numerze londyńskiego *Ateneum* czyta się takie ogłoszenie: Swinburne ma drukować w *Nineteenth Century* za miesiąc styczeń 1888 artykuł: „Zdetronizowanie Tennysona — przyczynek do tennysono-darwinowskiej kontrowersyi. Poeta posiada papiery Miss Celii Hobbes, która poświęciła wiele lat i dużo kryptogramicznej chytrości na dowiedzenie autorstwa Darwina w dziełach przypisywanych lordowi Tennysonowi.“ Zapowiedź nader interesująca i kryjąca niechybnie jakiś cel donioślejszy.

Tymczasem pamięć „starego Willa,“ „łabędzia z Avonu“ wyrugować się nie da, owszem, ciągle nowe odbiera on hołdy. W Stratford-on-Avon, mieście jego rodzinnem, istnieje muzeum, zwane *Shakespeares Memorial*: zawiera teatr, galeryę obrazów i bibliotekę złożoną z 2,000 tomów, z których 1,400 mieści kompletne lub częściowe angielskie wydania. Zagranicznych dzieł o Shakespearze jest mało, dlatego komitet wydał obecnie odezwę z prośbą o dopełnienie zbioru dziełami obcemi, tyczącemi się Shakespeara i jego dramatów i przysłanie ich pod adresem: M. Hawley, bibliothecary of Shakespeare's Memorial, Stratford-on-Avon. Powtarzam to dla tych, którzy potrzebę figurowania w tem muzeum czemś polskiem obok innych narodowości uznają. Posiadamy np. pomnikowe wydanie dzieł Shakespeara, mających podobno ukazać się obecnie w drugiej edycyi. Są to przekłady dzielne, nader staranne, ale niestety — dodajmy nawiasem — niezawsze poprawne i czasem kaleczące oryginał aż do potworności, jak *Juliusz Cezar* Paszkowskiego *). Każdy przekład, ledwo wyjdzie z druku, winien być poddany surowej krytycznej kontroli, inaczej nie wyjdziemy nigdy z dyletantyzmu, nie wzniesiemy się nad niesumienność i blichtr.

Egrot.

*) Dowody na każde żądanie. Egrot.

LITERATURA POLSKA.

LEONARD SOWIŃSKI.

Był ognistym, bujnym, szczodrym nad miarę;
Skarby ducha swego trwonił szalenie,
Za czczą rozkosz, za chwilowe złudzenie
Dawał w zamian zachwyt, miłość i wiarę.

Tak się wyraził o sobie Leonard Sowiński, zmarły 23 grudnia pod Lubarem na Wołyniu. Biada duchowi, gdy go nałogi ciała wezmą w okowy! Nie wzbije się nigdy na takie wyżyny, skądby mógł przyświecać jasno. Człowiek o samodzielnej, szorszej myśli, walczył długo z namiętnościami, nareszcie uległ, składając na ofiarę zapomnienia swój talent, wróżący wiele.

Urodził się 1831 r. na Podolu, gimnazyum skończył w Żytomierzu, wyższe nauki pobierał w uniwersytecie kijowskim na wydziale filologicznym i lekarskim. W r. 1857 puścił się na długą wędrówkę po Europie i pod tchnieniem bogatej natury południowej został poetą. W r. 1860 wydał w Wilnie *Studya nad literaturą ukraińską* (jako wstęp do dzieła „Taras Szewczenko“) z dołączeniem przekładu „Hajdamaków.“ Następnie poemat „Z życia“ doczekał się w krótkim czasie dwóch wydań. Dwa lata był współpracownikiem *Kuryera wileńskiego.* W r. 1862 nieprzyjazne losy zagnały go do Kurska i Szczygrów, gdzie przebywał do r. 1868. Stamtąd udał się do Warszawy i został tu współpracownikiem *Gaz. warszawskiej, Wieńca, Gaz. polskiej, Echa* i innych.

Z dzieł jego większych: *Rys dziejów literatury polskiej* (według notat Zdanowicza), jest robotą dokonaną mechanicznie, bez znajomości przedmiotu. Oprócz komplikacyj i obszernych wypisów z celniejszych utworów niektórych pisarzów, nic ona szczególnego nie posiada. Do prozy rzucił się Sowiński w ostatnich czasach dla chleba i napisał kilkotomową wodnistą powieść *Na rozstajnych drogach*, która nie budzi zainteresowania i nie przedstawia żadnej

wartości artystycznej. Nudne gawędziarstwo i brak objektywności. To samo powiedzieć można o drugiej powieści w *Dzienniku dla wszystkich*, pisanej na obstalunek. Autor licząc na nizki poziom umysłowy większości czytelników, ubrał swój utwór w niesmaczne efekty z odcieniem skandalicznym. Godniejsze uwagi są *Wspomnienia szkolne*, ze względu na bogaty i ciekawy materyał, dotyczący historyi szkolnictwa w gub. południowo-zachodnich.

Wybitniejszym był zmarły jako poeta. Rozpoczął ten zawód romantyzmem, następnie zajął punkt przejściowy, a w końcu dał się owładnąć, może bezwiednie, może skutkiem ciężkich warunków życia: wielkim pesymizmem. W formie świetny, silny, często bardzo oryginalny, w stylu jędrny, sypie kaskadą ognia, w satyrach ciska piorunami, druzgocze ten świat podły, brzydki, niepoprawny. Z wzorowego chrześcianina staje się nieraz bluźniercą, nirwanistą: pragnął rozpłynąć się i dosięgnąć szczytu żywota w *nicestwie*. Poczuwszy pustkę w sercu i na świecie, wołał: „Nie dosyć mi oklasku ciżb, ja chcę miłości; wiedzy marnej niedość mi, ja pragnę *wiary!*“ Nie znalazł jej, lecz w niepewności pytał: „Czyżby i *tam* był żywot jeszcze i ból i zwątpienie i żal po skarbach roztrwonionych i wstyd i sumienie?!..“ To ostatnie najbardziej go dręczyło, bo istotnie roztrwonił na zawsze, prawie samochcąc, wielkie skarby swego ducha, więc spojrzawszy w swoją przeszłość, powiada:

Byłem niegdyś dziecklem wielkich nadziei —
Wszystkie znikły w strasznej życia zawiei.
Chciano wznosić na nich gmachy ogromne —
Wszystkie u podwalin samych runęły.

Po młodości żal mu pozostał, teraźniejszość ziębiła, a przyszłość przerażała chorobliwie:

I cóż ten mądry wiek zostawi po swoim zgonie? —
Stos węgli, martwych ksiąg i kłamstwa nowy krój,—
I wielki grób w ostygłem potomności łonie.

Nieraz, zapominając, iż sam musi być rzemieślnikiem dla chleba, stawał na wyżynach ubocznego spostrzegacza i pryskał żółcią na swych braci w zawodzie. Jeden z „Fragmentów satyrycznych,“ ze względu na swą jadowitość i siłę zasługuje na przytoczenie:

Gdzież na was znajdę bicz, o potępieńcy ducha!
Co lutnie swe na złota nastrajacie brzęk,
A każdy z was na giełdzie uchem czujnem słucha:
Po czemu dzisiaj łza? Po czemu śmiech? Po czemu jęk?
„*Tout beau!* masz grosz!“ — i bard jak gołąbeczek [grucha...
„Masz dwa!“ — opiewa dziewic erotyczny wdzięk...
„Pójdź tu! masz trzy!“—za trzy rozpaczą on wybucha
Lub głosi wrzask trąb, ryk dział i mieczów szczęk.
O! wy, pozrywani z opinii łańcucha!
Krainę piękna przez was zdjął złowieszczy lęk...
Podajcie mi tu na nich rózg liktorskich pęk!..
Was, podłych, wstyd mi kląć... na łeb wasz trza [obucha,
A gdyby tylko spadł, słyszelibyśmy dźwięk,
Jak dźwięczy miedź — i prysłby jako glina krucha.

Czasem wracały mu błyski wiary chrześciańskiej, wówczas stawał się innym, nucił o gwiazdce betleemskiej, odmawiał pacierze wierszowane, spokojnie, bez siły słowa. Chwile takie były krótkie, płochliwa pocieszycielka pierzchała od buntowniczego ducha. Z określonych, jasnych myśli dążeń przechodził nagle w mglę mistycyzmu, w którym błąkał się, niepewny siebie. Z większych jego utworów poetyckich są: *Satyra, Widziadła* (w formie sonetów), *Fragment powieści*, pełen fantazyi poemat dramatyczny *Z życia*. W tym ostatnim widzimy go (przed laty dwudziestu pięciu) jako człowieka o zupełnie odmiennych porywach. Niezłamany duchem i ciałem, wytyka sobie drogę:

Potrząśnij kwieciem róż tę dzikich walk areną —
I łzami, krwią, ramieniem, czołem,
O piękno boże walcz za wzgard i śmierci cenę,
Aż z martwych powstaniesz aniołem.

Zboczył w pielgrzymce życiowej i na tę drogę kwiecisto - pokorną nigdy nie wszedł.

W r. 1873 ukazała się w Poznaniu bezimiennie tragedya fantastyczna wierszowana *Na Ukrainie*, osnuta na tle ostatnich wypadków. Utwór ten uderza siłą obrazów i pięknym kolorytem. W ostatnich czasach muza Sowińskiemu nie służyła, myśl zesztywniała w mózgu skołatanym. Pod wpływem wspomnień odległych napisał obrazek podolski p. t. *Prażnik* (*Petro*) słabo i blado. Godny jest uwagi staranny przekład kilku utworów Szewczenki.

Organizm silny przebył długoletnie nadużycia. Człowiek ten był tyranem tylko dla siebie, pod względem wielu cech swego charakteru zasługiwał na szacunek. Nie szczędząc się, skrzywdził ogół, bo myśl swobodna, szeroka w zdrowem ciele, mogłaby w dwójnasób podnieść talent, któryby jeszcze długo tworzył.

Zenon Pietkiewicz.

LITERATURA RUSIŃSKA.

W. Aleksandrow. *Składka, almanach roku bożoho* 1887. *N. 1-yj.* Charków.

Jest to album całkiem beletrystyczne, przeważnie z utworów wierszowanych złożone. Spotykamy tu prace autorów młodszych, nieraz początkujących, a ze starszego pokolenia tylko trzech: samego wydawcę Wł. Aleksandrowa, dalej jeden wiersz A. Nawrockiego, niegdyś członka towarzystwa Cyryla i Metodego, w r. 1847 aresztowanego razem z Szewczenką, Kostomarowem i Kuliszem, tłomacza *Farysa* i *Ody do młodości* Mickiewicza, wreszcie jedno opowiadanie pani Kuliszowej (Hanny Barwinok). Z pisarzów młodych na wyszczególnienie zasługują trzej: Cezar Biłyłowski, Włodzimierz Samojłenko i Wasyl Czajczenko.

Główna wartość *Składki* spoczywa w tłomaczeniach. P. Samojłenko dał prześliczny przekład pierwszej księgi *Iliady* Homera; p. Biłyłowski piękny przekład „Pieśni o dzwonie“ Szyllera, p. Aleksandrow parę tłomaczeń z niemieckiego, „Ciemność“ Byrona, „Ukraińską melodyę“ Wysockiego i parę tłomaczeń z ruskiego. Prócz tego umieszczono w albumie wiązankę wierszy oryginalnych; i tutaj palmę pierwszeństwa przyznać należy najmłodszemu, lecz najbardziej utalentowanemu z autorów *Składki*, p. Samojłence. Nie tylo jego pieśń humorystyczna „Hore piity,“ podłożona nawet pod nuty, ile wiersze poważnej treści, jak „Hirznycia,“ „Zymowyj dialog,“ „Do duszi,“ robią głębokie wrażenie swą z serca płynącą szczerością i prostotą wysłowienia. W p. Samojłenku możemy powitać talent, który oby się jaknajpiękniej rozwinął na niwie literatury ukraińskiej.

W dziale prozaicznym najwięcej wartości przedstawia opowiadanie pani Hanny Barwinok „Płanycia“; młodsze siły pozostały daleko po za nią i pod względem języka i nawet pod względem obserwacyi życia ludowego.

Ilustrowanyj kalendar tow. „Proświta“ na r. 1888. Lwów.

Kalendarze „Proświty,“ wydawane już przez lat 11, przedstawiają interes większy, niż wydawnictwa tego rodzaju w innych literaturach, już chociażby dla tego, że w ich części literackiej spotkać można oryginalne prace najlepszych autorów rusińskich z Galicyi i Ukrainy. Od kilku lat towarzystwo umieszcza też w kalendarzach ładne wizerunki. Tu widzimy portrety Iwana Borysikiewicza, rusińskiego patryoty, byłego posła na sejm krajowy w r. 1861—65, a jeszcze dawniej członka zjazdu słowiańskiego w Pradze i cenionego wówczas publicysty. Biografię jego napisał z wielkiem ciepłem i dobrą znajomością p. Oleśnicki. Dalej portret znakomitego uczonego kijowskiego, zmarłego Michała Maksymowicza i jego cenną biografię pióra p. O. K., portret i biografię ukraińskiego humorysty Ołeksy Storożenki, portret kompozytora muzycznego ks. Werbickiego, życiorys poety bukowińskiego D. Młaki (Wosilkiewicza), poety ukraińskiego Szczołołewa i znakomitego kompozytora Bortniańskiego. W części beletrystycznej umieszczono kilka oryginalnych wierszy D. Młaki, opowiadanie humorystyczne Koniskiego „Garibaldi,“ kilka poezyj Jakowenka, powiastkę D. Łepkiego „Antin Bereza,“ dalej parę poezyj pań Ulany Krawczenko i Klimetii P. i powiastkę Perebendi „Ojcowskie łzy.“ Cennym, chociaż niepopularnie opracowanym jest artykuł p. t. „Rusini,“ mieszczący krótki rys geografii plemienia rusińskiego, nazwiska miejscowe rusinów, narzecza języka rusińskiego i wyliczenie najbliższych sąsiadów rusińskiego plemienia. Już z tego krótkiego przeglądu może się każdy przekonać o wartości i pożyteczności tego kalendarza.

I. E. Lewickij. *Halycko-ruska bibliografija XIX stolitija* s uwzhladnenijem izdanij, pojawywszychsia w Uhorszczyni i Bukowyni (1801—1886). Lwów, 1887, wyp. I i II.

Taki jest tytuł pracy, obliczonej na większy rozmiar (12—15 zeszytów, po 3 arkusze każdy), a stanowiące owoc dziesięcioletniej pracy i prawdziwie mrówczych poszukiwań. Autor uporządkował materyał bibliograficzny wedle lat, a w obrębie każdego roku wedle porządku abecadłowego. Do rzadszych dzieł dodaje liczne notatki, prostujące niejeden błąd poprzednich bibliografów i historyków literatury ukraińskiej. Przy czasopismach, albumach itp. podaje dokładną treść. W dwóch pierwszych zeszytach doszedł zaledwie do połowy 1849 r. Rzecz to nadzwyczaj ważna dla każdego, kto chce się zajmować rozwojem piśmiennictwa rusińskiego w Galicyi, Węgrzech i na Bukowinie. Dodatek nadto poda dokładny wykaz przedmiotów i autorów z krótką biografią każdego. Strona drukarska nie pozostawia również nic do życzenia: autor używa aż 8 gatunków liter, by dokładnie wyrazić tytuły książek i rozpraw, które wyszły z pod pióra rusinów, czy to w rusińskim, cerkiewnym, ruskim, polskim, niemieckim, łacińskim lub innym języku. Cena każdego zeszytu 1 złr.

Narys istorii filozofii. Czast' persza: hrecka naturfilozofia, wid Talesa do Demokrita.

Książeczka ta stanowi pierwszy zeszyt „Naukowej biblioteki,“ której wydawnictwo rozpoczęte zostało w roku zeszłym przez grono młodszych autorów rusińskich. Zeszyt ten mieści w sobie przekład pierwszej części pięknego popularnego kursu historyi filozofii, pióra prof. Fritza Schultzego z czasopisma niemieckiego *Kosmos*. Tłomaczenia dokonał Iwan Franko.

M. Pawlyk. *Ruski narodni czytalni.*

Spora ta książka stanowi drugi i trzeci zeszyt tej samej „Naukowej biblioteki“ i mieści w sobie znacznie więcej, niż obiecuje sam tytuł. Autor daje bowiem na podstawie skrzętnie zebranego materyału zwięzłą i jasno napisaną historyę stosunku inteligencyi rusińskiej do ludu, smutną, lecz zarazem pocieszającą historyę licznych pomyłek, upadków i rozbudzeń myśli narodowej i postępowej zarazem pośród rusinów galicyjskich w ciągu ostatniego stulecia. Książka obecna (12 arkuszy druku), to tylko pierwsza część pracy o czytelniach i doprowadza rzecz do r. 1880. Dla każdego, kto zechce poznajomić się z genezą rusińskich partyj, z ich ideałami i dążnościami, osobliwie zaś z ich stosunkiem do prostego ludu, książka ta jest niezbędnym podrę-

cznikiem. Spodziewam się wkrótce w obszerniejszym artykule przedstawić wyniki badań autora.

Iwan Franko.

TEATR.

Jerzy Ohnet. *Hrabina Sara*, komedya w 5 aktach, tłomaczona przez Zygmunta Sarneckiego.

Goncourtowie powiedzieli gdzieś, że ciekawym byłaby dla większego dzieła tematem *Historya naturalna miłości*. Chyba tylko dla francuza. Inny spostrzegacz znajdzie w niej tylko nieskończony szereg kombinacyj tych uczuć, wstrząśnień i wypadków, jakie nastręcza odwieczna trójca panteonu paryzkiego: mąż, żona i kochanek. Podobnie brzmiący tytuł jednego z romansów Pawła Kocka, jest symbolicznym, jeśli nie dla całej beletrystyki francuzkiej, to dla całej ich dramaturgii nowszej.

A więc i ostatnia nowość, na scenie naszej wystawiona, w części do owego fatalnego cyklu należy, tem bardziej, że jest i powieścią i dramatem z niej wykrojonym jednocześnie. Osnowa w swym rdzeniu tak się przedstawia:

Zasłużony a niemłody już wojak, generał hr. de Canalheilles (p. Leszczyński), bawiąc we Włoszech w misyi dyplomatycznej, zapłonął miłością głęboką człowieka jeszcze czerstwego i młodzieńczo usposobionego do pięknej angielki, miss Sary (p. Marcello). Choć wzajemności nie posiadał, zjednał sobie tyle szacunku i sympatyi bohaterską aureolą i wysokiem stanowiskiem, że ma widoki zostania szczęśliwym małżonkiem. Jednocześnie pozyskał sobie pewne względy młody i również waleczny adjutant jego, Piotr Sévérac (p. Kotarbiński), bardzo rycerskiem znalezieniem się w drobnem jakiemś, obchodzącem ambicyę nadobnej cudzoziemki zajściu. W obawie o własne serce i spokój, w bezgranicznem poświęceniu dla swego wodza, stroni od niej; zapytany otwarcie, czy zniesie obojętnie jej zaślubiny, oświadcza się za szczęściem generała i ofiarowane sobie uczucie mężnie odrzuca. Sara obrażona w dumie i godności, które dotąd oporu nie znały, łączy się z siwiejącym wielbicielem, a szlachetny młodzian cierpi w milczeniu, choć pod jednym dachem z nowem stadłem żyje. Wyradza się stosunek tak zwanego w słowniku zalecanek wzajemnego „przyciągającego odpychania,“ który wreszcie prowadzi do uraz, w dalszym ciągu do wyjaśnień i rzecz prosta, wulkanicznego wybuchu dawno tłumionych płomieni. O ile były one gaszone, trudno wyrozumieć, dość, że w kochanku wkrótce zmalały do iskierki; ale i ta nie ostała się wobec trapiącej świadomości popełnionej względem dowódcy zdrady, a głównie wobec brzasku nowej, zupełnie „czystej“ miłości dla jego siostrzenicy, nie mniej od hrabiny uroczej, a nieskrępowanej jeszcze więzami hymenu Bianki (p. Czaki). Oto supeł psychologiczny, który należało autorowi rozplątać. Jak się z dylematu wygrzebie kochliwy oficerek, jak się ułożą wypadki w tej pogmatwanej tkaninie sentymentów? Traf mu dopomaga. Kiedy zrozpaczony swem położeniem bez wyjścia myśli jechać do Algieru na wojnę z powstańcami, zgadza się na ostatnią schadzkę z generałowa, a raczej namiętną Putyfarową — schadzkę, w którą wnosi już nie rozpalony węgiel, ale żużle. Przypadkiem zdybał ich jej mąż, ale niebezpieczną sytuacyę ratuje przytomny druh Sévéraca, Frossard (p. Tatarkiewicz). Tłomaczy on, iż Sévérac przybył w tak niezwykłej, nocnej, porze do Sary, ażeby uzyskać jej pomoc w staraniu się o rękę Bianki, niepewnym będąc zezwolenia generała — jej opiekuna i wuja. Generała to nie przekonywa, lecz dla decorum udaje, iż wierzy. Przy tej sposobności Sara dowiaduje się, że ma rywalkę w młodej dziewczynie, że ją Sévérac oszukuje, aczkolwiek ten zobojętnienie swe dawno już dał jej poznać. Wydarto jej więc serce kochanka, a nadto zbezczeszczono w oczach męża. I tym sposobem na pierwszem, i tak już dosyć wysokiem piętrze zawikłań, staje drugie piętro jeszcze większych komplikacyj. Róże ich zbiera młoda para, która w towarzystwie kilkuset tysięcy franków posagu wyjeżdża do Afryki — a ciernie hrabina. Od tego bowiem czasu zaczyna schnąć; nie wskrzesza jej pogody nawet kraj, gdzie spędziła lata młodzieńcze — Irlandya; nie dodaje otuchy zupełne przebaczenie męża i bezgraniczna życzliwość otoczenia. List od szczęśliwej rywalki, donoszący generałowi o słodyczy miodowych miesięcy, uwieńczonych nawet widokami macierzyństwa, dopełnia miary, rozżala zbolałą, onieprzytomnia rozpaczą i rzuca w fale jeziora...

Tak więc — przestroga okropna, dla młodych kobiet, by lekkomyślnie nie zrzekały się przyszłych praw serca dla blasku imienia i tytułu. Taką chyba „tendencyę“ chciał wyrazić Ohnet. Uczynił to nader efektownie i dla niejednej skutecznie. Ale czy stworzył dzieło sztuki? Jej bowiem nie wystarczają wzruszające sceny i zalety praktyczne.

Otóż *Hrabina Sara* jest mechanizmem tak złożonym, że potrzeba natężonej uwagi, żeby w akcyi nie zabłądzić i módz zrozumieć racyę tylu aktów, scen i osób działających. Ten brak prostoty w układzie od razu uderza i sprawia, że się na dramat patrzy jak na pracowitą, mozolnie wysnutą rzecz, która jednak wobec wysoce dramatycznego założenia winna być szczególnie prostą i pochwytną. Wielkie skutki mogą wypływać jedynie z wielkich przyczyn. Tutaj punkt ciężkości intrygi spoczywa w wiadomej schadzce — gdzie po raz pierwszy stają przeciw sobie dwie miłości i odkąd zaczyna się niedola Sary. A tymczasem schadzka ta wraz ze wszystkiem, co się na niej zdarzyło, stanowi splot tylu zbiegów okoliczności, tylu współczesnych faktów i fakcików, że i połowa ich stworzyłaby dużo nieprawdopodobieństwo. A więc: oprócz hrabiny i Sévéraca musiał tam być obecnym hrabia, by mógł ich zdybać, Frossard, by mógł ratować sytuacyę oświadczynami w imieniu swego przyjaciela — bez czego Sara nie wiedziałaby o przeniewierzaniu się jej kochanka a związek młodych nie przyszedłby do skutku; ale dlatego samego konieczną była i obecność samej Bianki, która również przyczynia się do ocalenia pozorów, albowiem siedząc za krzakami wiedziała dobrze, iż pomiędzy hrabiną a Sévérac'iem nic zdrożnego nie zaszło. Gdyby tam Bianki nie było, nie mogłaby ratować honoru hrabiny, a co za tem idzie, nie mogłaby zjednać jej sobie szlachetnością itd. Lecz żeby usprawiedliwić tak brzemienną w następstwa jednoczesną obecność tylu osób w altanie przeznaczonej na *rendez-vous*, trzeba wymyśleć całą sieć poprzedzających wypadków. Tych już przytaczać nie chcę, bojąc się by czytelnik nie doznał zawrotu głowy. Porusza się tu więc cały system drobnych kółek nieogarnionych w swej liczbie, zamiast jednej jakiej dużej i pochwytnej sprężyny.

To jeden rys znamienny. Drugim jest — idealizm bez miary. Na kilkanaście osób nie ma ani jednej z charakterem ujemnym, lub chociażby pospolicie uczciwym! Jest to ogólny wyścig honoru, nadludzkiej szlachetności, poświęceń, prawości i wszelkich możebnych i niemożebnych cnót. Dziwne zjawisko! W odmęcie realizmu, który niemiłosiernie zdziera wszelkie ułudy, żyje pisarz-lunatyk, zdolny patrzeć na wszystko przez różową mgłę. Wiek złoty jest niedzianym w porównaniu z tym, nadziemskim światem, na którym najsilniejszy teleskop nie dostrzeże plamki. Trudność psychologicznego rysunku postaci schodzi wobec tego niemal do zera; zniwelowawszy ich wartość moralną, starto i ich indywidualność. Dzielą je już tylko wiek, płeć, klasa, przeszłość i tym podobne kategorye ogólne. Generał i adjutant, to dwa szablony, starszy i młodszy, patetycznej wspaniałomyślności i heroizmu, towarzysz pierwszego, pułkownik Merlot (p. Rapacki) i znany nam już przyjaciel drugiego — to dwa egzemplarze szlachetności bardziej humorystycznej, hrabina i Bianka tworzą znowu dwie edycye zakochanej i gotowej do ofiar kobiety, a jeśli pierwsza różni się od drugiej temperamentem bardziej gwałtownym — zawdzięcza to ryzykownym ze strony autora wybiegom: jest z pochodzenia cyganką: przygarnęła ją, wychowała i spadkobierczynią zrobiła bogata dama angielska itd. — znana nuta *Chaty za wsią*, *Oksany*, *Barona cygańskiego* i tylu innych cygańsko-romantycznych banialuk. Jedyną rozmaitość stanowi ów pułkownik, który prócz sławy żołnierza, posiada jeszcze komizm bardzo sympatyczny. Warczy, jak gniewny brytan, na konkurenta swej córki (p. Sznage), i pędza go przed sobą, jak tchórzliwego psiaka, ale wzięty raz pod jego komendę i oceniwszy zalety, zamienia się w kochającego, niemal ubóstwiającego teścia. Ta nić humoru, przewijająca się przez całą sztukę, jest wysoce zręczną i sama w sobie wykończoną, ale nadto wyraźnie odskakuje od ogólnego, patetycznego tła. Czuć, że jest dodana z konieczności, jako ustępstwo dla wymagań komedyi.

Nie byłoby jednak zasady tak długo zatrzymywać się nad dziełem Ohneta wobec tylu jej pierwiastków przestarzałych, gdyby nie to, że bądź co bądź jest dramatem czysto psychologicznym, przeprowadzonym konsekwentnie i dosyć szerokiemi liniami; że należy do rzędu staré głębszych i silniejszych, i obfituje w chwile wysokiego nastroju. Takie jest wyznanie miłości Sary i Piotra Sévéraca, płomienne lecz zarazem bolesne; taką jest sama schadzka w parku; przedśmiertna walka bohaterki z melancholią i wiele innych. Natomiast geneza drugiej, idealnej miłości Sévéraca na popiołach dawnej, odbywając się za sceną, za słabo jest umotywowaną dla widza. Pozostaje wrażenie przeskoku. Wreszcie nadmienić się godzi, że jeśli aparat akcyi nie ustępuje naciąganiem innym komedyom francuzkim — tu nie schodzi do poziomu bezceremonialnej szopki, przed którą nie cofają się ani Sardou, ani Feuillet. Tu przynajmniej zbiegi wypadków cudowne, przygotowywane są zawczasu, na długo przed terminem. Całość, owiana atmosferą wytworną, rozpada się na dyalogi subtelne.

Powszechny zachwyt nad grą artystów nam jednak udzielić się nie mógł. Prawda, że sztuka nie łatwa, ale wykonanie jest dalekie od sprostania jej. Nie mało zadanie ma tam do spełnienia p. Marcello, dźwigając rolę bogatą w działanie i deklamacyę — i kiedyż może jej się to udać: pierwsze przedstawienie dowiodło tylko tej możliwości — mało więcej. Do wyżyn postaci dramatycznej, natury wyszukanej: i dzikiej trochę i dystyngowanej i zacnej — długa jeszcze droga. Tymczasem jest zaledwie sumienna praca, znaczna rozmaitość akcentów i cieniowania — ale nie ma prawdziwej, niewymuszonej, innemi słowy *przekonywającej* dramatyczności. Zewsząd widnieje jakieś dorobkiewiczowstwo artystyczne, mozolne pięcie się w górę przy pomocy rażącej afektacyi ruchów i słowa, przesadnej modulacyi chociażby np. w wymawianiu nazwiska „Sévérac.“ Za dużo tam Sary Bernhard, za mało Modrzejewskiej. Są błyski istotnego talentu np. w scenie z listem, ale ogół zostawia słuchacza zimnym i rozdrażnionym raczej niż przejętym — jeżeli, rozumie się, nie jest nim płeć piękna. (która, jak szereg trajkotek za mną siedzących, olśniona pysznemi toaletami p Marcello, głośno wyraża entuzyazm swój dla niej i autora, a jeszcze głośniej — wzgardliwe zestawienia z Lu-

bowskim). Pannie Czaki powierzono misyę, stanowczo nad siły i nad rodzaj jej gry. Bianka w intencyach autora nie mogła być pospolitą, bezbarwną jak przeciętna koza „z porządnego domu.“ W razie przeciwnym, nieskończenie naiwnym byłby człowiek, przenoszący jej miłość nad gorące uczucie głównej heroiny. P. Leszczyński, z mniejszym cokolwiek spokojem odtwarzając generała — uczyniłby pełną godności grę swoją bardziej zajmującą. Pułkownik znalazł w p. Rapackim rzecznika wybornego, a Frossard w p. Tatarkiewiczu — też nie gorszego. P. Kotarbiński dobrze miarkował napięość swej dykcyi; szkoda tylko, że ucharakteryzował się na lalkę, a nie na mężczyznę. Twarde dusze w tak miękkich ciałach nie przebywają.

Przekład jest bez zarzutu; takie bowiem *lapsus'y*, jak „ucieczka przed *purytaninami*“ lub „*pięćdziesiaty* krzyżyk,“ zamiast piątego, obarczają chyba tylko sumienie aktorów, nieoswojonych jeszcze należycie ze sztuką i zbyt może długimi frazesami. *Hrabina Sara* daną była starannie, a że ostatecznie należy do lepszego repertuaru, może na równi z *Właścicielem Kuźnic*, przez dłuższy czas nie zejdzie ze sceny.

Cezary Jellenta.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Przyjemności dnia noworocznego. — Dwa numery *Kuryerów* bez Kaśki Karyatydy i syna Sary Bernard, a z odrobiną typów beletrystyki pozytywnej. — My i poprzednicy nasi. — Zamiar Syrokomli. — Nasza galareta dziennikarska. — Portret Leona XIII i jego uśmiech. — Między Dantem a Lombrosem. — Wielki pan i węgle dla biednych. — Ofiary zimy i konduktorowie tramwajów. — Kilka rad bezinteresownych a praktycznych.

Dzień pierwszy nowego roku spędziłem bardzo mile i pragnąłbym, ażeby wszystkie były do niego podobne. Współczesne pokolenia o dużej wątrobie — jakby powiedział Homer — są zapewne ciekawe, skąd czerpałem rozkosz? Wymienię źródła najważniejsze i publiczne: noworoczne numery dwu *Kuryerów*. Zbiorki te sprawiły mi wiele przyjemności: naprzód doczekałem chwili, w której bliźniątka odróżniły się nietylko warunkami prenumeraty, ale także formatem i szatą zewnętrzną (a wiadomo, że naturę cenią głównie za jej rozmaitość); powtóre, obejrzałem zgromadzonych razem wszystkich twórców opinii publicznej; potrzecie, miałem jedną dobę, w której nie potrzebowałem czytać ani o *Kaśce Karyatydzie*, ani o ślubie syna Sary Bernard „po północy“ a z bajek o „czaplach na wysokich nogach,“ znalazłem tylko „luźne wyjątki“ o „typach i ideałach pozytywnej beletrystyki polskiej.“ Nadto przy obu wydaniach znajdowały się dodatki ilustrowane. Raz w rok można i warto odjąć od ucha trąbkę telefonu, łączącego nas ze światem spraw poważnych i zagadnień naukowych, zamienić się na istotę kuryerową, która daty postępu literatury znaczy numerami pism obrazkowych, przestać myśleć i — patrzeć. Oglądałem więc rozmaite rysunki bez krytyki, bez sądu, bo bez potrzeby rozstrzygania, czy *Kłosy*, czy *Tygodnik ilustowany* zasługują na więcej wierszy reklamy w tej rubryce, w której *Historya XIX w.*, wydana przez *Prawdę*, dostaje kilkanaście słów wzmianki, a między niemi jedno najcenniejsze, że jest to „przekład“ pracy mitycznego autora obcego — Lewalda. Byłem więc 1 stycznia szczęśliwy. Ze szczebiotem żywych w dwu chórach naszej dziennikarskiej „Lutni“ połączyły się głosy umarłych. *Kuryer warsz.* wydrukował nieznane wiersze Mickiewicza, Słowackiego, Syrokomli i innych, które nam uwydatniły różnicę między okresem obecnym a niedawno minionym. Już nietylko gromadka najdalej wysunięta, nietylko konna awangarda naszej literatury, ale jej wolno i ostrożnie idąca piechota oddaliła się od stanowisk zajmowanych przez zmarłych hetmanów i ich pułki. Dziś już żaden poeta (z wyjątkiem paru inwalidów z dawnego zaciągu) nie śpiewałby, jak Słowacki o guślarzu i nie pisałby takiego pamiętnika, jak Kraszewski, nie podejmowałby takich zadań, jak Syrokomla. Ten ostatni np. zamierzył w r. 1846 wydawać pismo zbiorowe p. t. *Dziadek kościelny*. W piśmie tem chciał on „powiedzieć lub przynajmniej dać do zrozumienia, że rozum ludzki nie będzie upokorzonym (!), jeśli, podciągając wszystko pod swoje wszechstronne badanie, uklęknie przed ewangelią i zechce jej uwierzyć *in verba magistri*.“ Gdy przedsięwzięcie to upadło, zawiedziony redaktor tego dziwnego organu pisał do Pługa:

> Kościół święty, matkę naszą,
> Reformami ludzie straszą,
> A jak poczznie mądra rada
> Głosić postęp radykalny,
> To i proboszcz nie przegada,
> Cóż dopiero dziad szpitalny?
> Och, czy mojej starej głowie
> Zbijać mądre ich androny?
> *Jedno umiem*, jedno mówię:
> Niechże będzie pochwalony!

Dziś nawet przyjaciele i współwyznawcy Syrokomli nie przyznaliby się, że to „jedno umieją“ i że w filozofii „proboszcz“ jest najwyższym sędzią, nie wydaliby prospektu na pismo p. t. *Dziadek kościelny*, chociaż twierdzą, że jak stali, tak stoją... Rzeczywiście, niektórzy z nich nogami nie ruszają, ale czas ich ciągnie.

Od r. 1850 Kraszewski przez lat parę pisał dziennik. W jednem miejscu powiada: „Są dziwne przeznaczenia... chociaż wiary do tego nie przykładam, muszę jednak wspomnieć tu, że przez całą młodość moją zawsze każdego miesiąca czwarty dzień był mi nieszczęśliwy i wszystkie nieszczęścia, straty bolesne, strapienia duszy, przykrości, spotykały mnie czwartego. Widząc, że mi Bóg przypomina pokutę, zacząłem był pościć, ale dziś zmieniło się to na modlitwy pokutne.“ Kraszewski łudził się, on wierzył w to „dziwne przeznaczenie,“ bo inaczej, skądżeby „wiedział, że mu Bóg przypomina pokutę“; ale czy przed śmiercią dostrzegał takie znaki, czy pościł i odmawiał modlitwy pokutne?

Śmiejcie się, ale ja wolę tych ludzi głęboko religijnych i szczerze wypowiadających swoje przekonania, niż obecnych hermafrodytów, wstydzących się zarówno wiary, jak niewiary, linochodów z balansem w ręku, eunuchów przemawiających piskliwym głosem, miętusów bezkostnych, piskorzów wyśliźgujących się z ręki, która chce ich ująć, istoty szare, lotne, bezpłciowe i bezbarwne, które przeważnie zaludniają naszą obecną literaturę. Są to jakieś gatunki przechodnie, płody nieszczęśliwego skrzyżowania, które nie posiadają sił żywotnych i nie zostawią przyszłości potomstwa. Tak jest, pomimo całej przeciwległości stanowiska, wolę Syrokomlę, który chciał wydawać *Dziadka kościelnego*, niż wielu dzisiejszych redaktorów, ofiarujących w swych prospektach i Bogu świeczkę i djabłu ożóg, oglądających się na Popiela i na Darwina, drukujących wiersze Deotymy i Shelleya, niewierzących w nic, prócz w swoje nalogi i interes.

Z tego gustu gotowi jesteście wywnioskować, że noworoczne numery *Kuryerów*, napełnione owym hermafrodytyzmem, nie podobały mi się. Bynajmniej. Właśnie przyjemnie jest widzieć zebraną razem naszą galaretę literacką, w której kawałki talentu i wiedzy zrzadka przetykają płyn zsiadły szary, mdły i trzęsący się.

Tygodnik ilustrowany zamieścił portret Leona XIII. Żałuję mocno, że nie jestem bogaty, bo zakupiłbym 12 milionów (tyle nas podobno jest) odbitek tego wizerunku i rozesłał wszystkim moim rodakom. Kto go posiada, niech wpatrzy się uważnie w jego twarz, a zwłaszcza w uśmiech. Przedziwny *Reinecke Fuchs*! Z tego uśmiechu można wyprowadzić całą politykę papieża, przebłyskuje w nim i order Chrystusa, dany Bismarkowi, i Dinder, i niemiecki wykład religii w szkołach poznańskich, i nakaz katolikom głosowania za kanclerzem, i wszystkie encykliki i całe „ojcowstwo“ okazywane sierotom politycznym. Gdybym był dzieckiem, bałbym się sam spać w pokoju, w którym taki portret wisi, albo miewałbym sny okropne i ze złożonemi rękami tłomaczył obrazowi:

— Przecież to nie ja, ale Dante pytał:

> Powiedz mi tedy, czy Pan nasz wymagał
> Skarbu jakiego od świętego Piotra,
> Pierwej niż klucze złożył w mocy jego?
> O, nie, zaiste rzekł tylko: idź za mną!

Jam nie winien — nie śmiej się tak do mnie.

Tak bym go błagał.

Naturalnie dziś, patrząc na ten portret, nie myślę o galeryi Danta, ale Lombrosa. Przy pierwszem zaś spotkaniu się z Maciejem lub Bartkiem zrobię próbę — pokażę mu wizerunek Leona XIII i zapytam:

— Co myślicie o tym panu? Zdacie się na jego sąd w sporze o służebności z dworem?

Ciekawa rzecz, co Maciej powie.

Miluchny ten uśmiech, jak odblask miłości chrześciańskiej, padł na trumnę Romana Wierzchlejskiego, przed którym zamknięto nawet kaplicę cmentarną i ledwie grób otworzono. Nieszczęście, cierpienie, chociaż wzrusza serca kamienne, nie zmiękcza najtwardszej ze skał — opoki Kościoła, z której nie sączą się łzy współczucia. Samobójca jest wyklętym: jego rozpacz, przedśmiertne katusze, tortury moralne, na których skonał — nie mażą jego win, owszem dołączają się do nich najsromotniejszą plamą. Pod tą klątwą legł w grobie Wierzchlejski. Czy jednak w oczach naszych zczerniał jego charakter, czy nawet pobożni, pożegnawszy pozbawionego wszelkich form zwyczajowych ostatniej posługi, zmienili o nim swój sąd? Nie. Wszyscy są przekonani, że przeciął swe życie człowiek uczciwy, który nie miał siły dźwignąć ciężkiego brzemienia, jakie mu los na barki włożył. Dla samobójców trzeba mieć zawsze litość, a coraz częściej — usprawiedliwienie, bo żyć jest bardzo trudno.

Nie należy potępiać najsurowszej konsekwencyi; dopóki więc cmentarz pozostaje w monopolu księży a ich zakon nie pozwala na oddawanie posług religijnych samobójcom, dopóty zgodna z tą zasadą odmowa udziału duchowieństwa w pogrzebie jest najzupełniej słuszną. Ale owej konsekwencyi względem zwłok Wierzchlejskiego, a raczej życzeń jego rodziny nie widzimy. Albo nieboszczyk odebrał sobie życie zdrów umysłowo, albo nie: w pierwszym wypadku mógł być pozbawiony ceremonij religijnych, w drugim — nie. Tymczasem rozstrzygnięto kwestyę połowicznie: pozwolono go pokropić i pochować na cmentarzu, ale bez uczestnictwa księży i bez przytułku w kościele, chociaż zostały stwierdzone i w protokóle sekcyjnym zapisane zboczenia umysłowe i mózgowe. Echo też żalu do hierarchii duchownej odbiło się w przemowie nadgrobnej J. Kamińskiego: „Tylko krańcowy obskurantyzm — rzekł on — co ducha od ciała odróżnić nie umie, lekceważyć potrafi złoto, gdy się stargała sakwa, z której je wysypano. Żegnaj zacny przewodniku i kolego, bojowniku idei Chrystusa: z jego szaty wydzielono ci naostatku tylko ciernie,

ale duch twój, nagi jak prawda, z wiekuistą prawdą się połączy.“ Zabieram głos w tej sprawie nie dla wywalczenia odpustu samobójcom, którym taka łaska jest obojętną; nie dla upomnienia się o krzywdę Wierzchlejskiego, której on nie czuje i może by nie czuł, gdyby zmartwychwstał; wreszcie nie dla obrony i zapewnienia praw do pogrzebu religijnego wszystkim, którzy do grobu się kładą, ale dla wskazania krzywizn logiki księżej, która często niepotrzebnie upośledzając umarłych, rani żywych— rodzinę i przyjaciół.

Niedawno zmarł w Paryżu jakiś Potocki, którego pogrzebano z wszelkim ceremoniałem, na jaki istotnie zasłużył, gdyby nawet zszedł ze świata drogą Wierzchlejskiego. Według gazet zagranicznych, pan ten w święta Bożego Narodzenia wyprawiał corocznie wspaniałą ucztę dla śmietanki towarzystwa. Otóż raz zebrali się goście bardzo licznie, ale ku wielkiemu ich zdumieniu gospodarz domu nie zjawił się. Nareszcie wchodzi marszałek dworu i jednej z dam podaje depeszę, w której hrabia, zmuszony pozostać w Galicyi, prosi biesiadników, ażeby bawili się ochoczo bez niego a on w tej chwili wnosi toast za ich zdrowie. Przyjęto tę oryginalność oklaskiem i rozpoczęto tańce, które trwały do rana. Szkoda, że ten „wzór staropolskiej gościnności“ — jak go nazywa *Fr. Ztng* — zszedł z tego świata, bo bym go prosił, ażeby tego roku sumę wydawaną na bale gwiazdkowe ofiarował biednym w Warszawie na węgiel. Ponieważ nie żyje, więc pozwalam sobie obciążyć rachunek jego sumienia przypuszczeniem, że to by zrobił. Straciwszy zaś tak niezawodną pomoc, musimy poradzić sobie inaczej. *Kuryery*, jako najbardziej rozpowszechnione, powinny odezwać się do miłosierdzia publicznego o składki na ten cel i przelać zebrane fundusze do jakiejś instytucyi, któraby je najsprawiedliwiej rozdzielić mogła. Jest to nasz niezbędny obowiązek, który odczuliśmy i dobrze spełnili przed kilku laty w czasie równie surowej zimy.

Mam nadzieję — a kilka jej potwierdzeń już w pismach znalazłem — że nędza dozna opieki, że biedni otrzymają węgiel, kuropatwy — ziarno, zające — warzywa i zboże, bydło — osłonę obór itd., tylko konduktorzy tramwajowi muszą przy 20 stopniach mrozu stać na odkrytej platformie przez kilkanaście godzin dziennie. Podawali oni już prośbę do zarządu o skrócenie czasu zajęć lub przynajmniej urządzenie częstszej zmiany, ale im podobno odmówiono, gdyż akcyonaryusze udowodnili, że w Belgii, gdzie przebywają, jest cieplej, ich więc interes się nie zaziębi. Jakkolwiek surowe przepisy jezuicko-belgijskiego Towarzystwa wszystko przewidziały i każde przewinienie służby opodatkowały, radzę polecić kontrolerom, ażeby rewidowali nietylko bilety, ale także oglądali, czy konduktorzy nie mają ukrytych garnków z węglami. Gdyby zaś temperatura zniżyła się jeszcze do tej granicy, w której już nawet para litości zarządu tramwajowego zacznie się skraplać, zalecałbym zezwolenie na zmianę, ale z końmi: mianowicie gdy konduktor zbyt przemarznie, niech wprowadzi konia na platformę a sam się zaprzęże: przeleciawszy od Mokotowa na Powązki, nietylko się rozgrzeje, ale nadto użyje przyjemności przesuwania zwrotnic bez wychodzenia z tramwaju. Koń nie będzie potrzebował dzwonić, gdyż sam konduktor spostrzeże, kiedy należy stawać i ruszać.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

O przyszłość oficyalistów prywatnych. — Obywatel-dentysta. — Chamska ambicya. — Zuchwalcy w szlacheckiej rasie. — Żółw gwizdający na trwogę. — Jak się ratują zrujnowani. — Najemni licytanci. — Anomalie ekonomiczne.—Prowincya się rusza.—Kiermasze.— Rękodzieła.—Zanik potrzeb umysłowych.— Nauka żebraczką.

W ostatnich czasach coraz częściej zdarzają się pośród szlachty naszej wypadki pozbywania się z oczu kurzej ślepoty, a z serca zrogowaciałej powłoki. P. Kretkowski (ziemianin) w *Gazecie rolniczej* wydostaje z przeszłości ciekawy projekt, który Towarzystwo rolnicze Królestwa Polskiego w r. 1859 jednozgodnie przyjęło, a nie mogło czynem poprzeć z powodu ówczesnych wypadków. Przepisy te głoszą, iż każdy obywatel, chcący zapewnić utrzymanie oficyaliście na starość, a tem samem zjednać jego przychylność, płacić będzie rocznie 6% od wynagrodzenia pieniężnego. Kasy Towarzystwa kredytowego otrzymują książeczki do zapisywania wkładów na imię oficyalisty. Fundusze te pomnażane będą prócz wkładów zwyczajnych karami służby źle postępującej, oddalonej lub zmarłej przed czasem wysłużenia emerytury, wreszcie procentami od sum zbieranych w kasach Towarzystwa. Każdy pracownik, pełniący swój obowiązek w jednem miejscu lub u jednego „pana“ przez lat dwadzieścia, na którego imię robione były wkłady, dostanie tytułem nagrody taką samą płacę emerytalną do śmierci, jaką pobierał w ostatnich trzech latach swej służby. Oddalony lub opuszczający miejsce przed wyżej oznaczonym terminem, traci prawo do emerytury, a wkłady na jego imię robione, przejdą na własność Towarzystwa. Śmierć chlebodawcy nie robi przerwy w rachubie czasu do emerytury, a służba u drugiego liczyć się będzie jako dalszy ciąg pierwszej. Pracownicy, którzy mieliby chęć opłacać wkłady *ze swoich funduszów*, mają prawo do emerytury, chociażby zmienili służbę. W razie okazania się niedostatecznych zarobków w Towarzystwie emerytalnem na opłacenie pensyj wysłużonych po upływie lat dwudziestu, instytucye kredytowe zapełnią niedobór z sum zapasowych, a stowarzyszeni obmyślą stosowne źródła. Taka jest zasadnicza treść owej ustawy z przed laty niespełna trzydziestu, wysuwanej na dzisiaj. Możnaby jej wiele zarzucić: *oddalony* lub *opuszczający* służbę przed oznaczonym terminem, traci prawo do zapomogi. A jeżeli fizyognomia oficyalisty u *starego* dziedzica nie podoba się po śmierci ojca *młodemu*, chociażby w dziewiętnastym roku służby? (Tak bywało!). Jeżeli pracownik opuszcza służbę skutkiem upadku sił? Pomimo to ludzie owych dwóch kategoryj mają prawo do emerytury, jeśli zechcą nadal opłacać składki *ze swoich funduszów* (!). Niech to sprobuje wyrzucony oficyalista, żyjący na łaskawym chlebie u jakiego chłopa z sercem. Pytam jeszcze: do jakiej klasyfikacyi będą należeć ci, których „panowie“ wyzuwają się z mienia? Bądź co bądź projekt odgrzebany ujawnia dwa dodatnie fakty: że dawniej (chociaż błyskawicznie) szlachta myślała o doli swych oficyalistów i że dziś o tem ci sami zaczynają myśleć. P. Kretkowski prosi usilnie obywateli ziemskich tudzież „mężów dobrej woli“ o poparcie projektu, dopełnienie, w czem uznają za potrzebne i ożywienia go. „Jakkolwiek opłata 6% — powiada — zdawać się będzie czasem za uciążliwą, to jednak w krótkim czasie sowicie się wynagrodzi, najprzód zmniejszeniem wydatku i straty przy przeprowadzaniu się służących, oraz opłaty stręczeń, a głównie polepszeniem się naszego mienia z powodu dobrej i przychylnej służby.“

Zdaje mi się, że ta myśl w czynie znajdzie wiele przeszkód w „temperamencie“ szlacheckim. Jak niektórzy wynagradzają swoich pracowników i jaką im emeryturę gotują, dowiecie się, czytelnicy, z następującego obrazka, pochwyconego wiernie z życia. Pan X., bardzo zamożny właściciel ziemski starszych oficyalistów grzecznie w oczy tytułuje idyotami, waryatami itd. Do służby niższej przemawia pięścią po twarzy w taki sposób, izby luki w szczękach pozostawały. Tej karze towarzyszą jeszcze dwie: wymyślanie i grzywna. Gdy nieujeżdżony koń złamie dyszel pod komendą pańską, parobek obecny płaci za szkodę. Są tacy, co z przeznaczonych im kwartalnie pięciu rubli otrzymują tylko dwa. Dawna służba powiada, że na starość nie będzie miała kłopotu z zębami, gdyż dziedzic jest doskonałym dentystą. Kara sowicie ściągana, jest... oszczędnością gospodarską. Nie zawsze bywa srogim, czasem czworaków obdarza łaską:

— Weźcie tam po kawałku ziemi, ja wam każę zaorać.

— Już my, proszę łaski wielmożnego dziedzica, wolimy nie brać — odpowiadają, kłaniając się.

— A to dlaczego?

— Bo wielmożny dziedzic będzie nam później cały rok wymawiać to dobrodziejstwo.

Pan zżyma plecami, dziwiąc się, że chamy mają ambicyę.

Młody szlachcic z pod Nieświeża pod przyłbicą „Siemiona“ porywa się (w *Kraju*) na najmożniejszych swych braci i to tak zuchwałym skokiem, że niejeden ze starszych może mu przypomnieć przysłowie o ptaku kalającym swoje gniazdo. Pisząc o znakomitych gościach rezydencyi Radziwiłłowskiej, dodaje: „gwarno na zamku, ale tylko na zamku, okolicy bowiem ten ruch wcale się nie udziela, nikt z gości zamkowych nie dowie się, jak tam ludzie po za fosami żyją, co myślą. Nikt z nich świeżym jakim poglądem nie przerwie naszej drzemki prowincyonalnej.“ W Anglii każdy z lordów, wyjechawszy ze stolicy, czuje potrzebę skąpania się w atmosferze prowincyonalnej, zmierzenia swoich teoryj ze zdrowym sądem wieśniaków. „U nas, niestety — dodaje korespondent — umieją tylko jeść po angielsku, jeździć po angielsku, mówić po angielsku — i na tem koniec.“ Zawiodłem się, sądząc, że jednakowy ton listu będzie do końca. Autor sypie komunały oklepane i śmieszne, sądząc, że rozwiązał sprawy ważne. „Dziedzic powinien ściśle bronić swych praw własności, aby wdrożyć ludność w poszanowanie ich, bo zrozumienie praw własności więcej niż każde inne pojęcie jest cywilizacyjnem.“ Długo deptane wązkie ścieżki logiki przez praojców odbiły się głęboko w mózgach potomków. Szersze fale pojęć przelewają się pod czaszkami ciekawych, ale niema takich nowych wklęsłości, gdzieby się mogły zatrzymać.

Inny „młody szlachcic“ z nad Bohu odezwał się w nierównie sympatyczniejszym tonie (w tem samem piśmie, co „stury“). Ale dostał też za to cięgi... w powietrzu od żółwia swojskiego (*Rolnika i hodowcy*), który wychyliwszy zaspaną głowę ze swej skorupy, zagwizdał o mandarynizmie dawnej szkoły. Co za bluźnierstwo! Młodzieniec z dobrej rasy śmie utyskiwać, iż fatalnym błędem ekonomicznym i politycznym jest zdanie: „szlachta gdyby nawet chciała zlać się z ludem, to niema prawa tego uczynić bez ujmy dla wyższych względów wszędzie tam, gdzie lud jest innej kultury.“ Cóż to autor rozumie przez owo *zlanie się z ludem*? — woła zaperzone pisemko gospodarskie — czy przewalanie się pod ławą karczemną, czy też wspólne wyprawy do cudzych lasów? „Cóż to za paradoks fałszywy a *niebezpieczny*!“ I ciało galaretowate, gwiż-

dzące na trwogę, zatrzęsło się w ciasnej skorupie. Ale przejdzie mu febra, gdy uzbrojone w *obywatelskość poglądów* (!) i zasobne w kulturę (!), stanie na czele ludu (!!). Wtedy nie ulęknie się „ani proroctw, ani wszelkich burz dziejowych." Błogosławione!

Zanim to nastąpi, warto pomyśleć nad poskromieniem pomysłowości „ludzi złej woli," jak ich przez grzeczność nazywa *Korespondent płocki*, wyciągając na wierzch ciekawe sprawki. Otóż ci ludzie przy sprzedaży nieruchomości miejskich i dóbr ziemskich przez płocki sąd okręgowy, wyzyskują przepis procedury cywilnej, dozwalający przystępować do licytacyi nieruchomości przez sądy zarządzonej, nietylko bez składania kaucyi, ale nawet bez usprawiedliwienia swej tożsamości. Dzięki temu skazany na sprzedaż mienia, najmuje osób kilka dla przelicytowania spółzawodników do rzeczywistego kupna. Sprawa idzie bardzo łatwo, bo prawdziwi ograniczają się sami w wysokości szacunku własną wierzytelnością, którą chcą ocalić, lub istotną wartością nieruchomości — gdy najemnicy pędzą „jak zgrani szulerzy," nic nie ryzykując, bo tej pięknej roli podejmują się tacy tylko, co pod względem moralnym i materyalnym nic nie mają do stracenia. Mogą nawet przybierać nazwisko, gdyż prawo nie zmusza do legitymacyi. W razie gdy takich osobników jest kilku, szacunek najwyżej postąpiony i zaofiarowanie przedostatnie od nich pochodzi. Utrzymujący się niema konieczności składania zadatku, za co czeka go tylko kara pieniężna, w razie zaś pustych kieszeni nic może w zamian, na podstawie kodeksu karnego, aresztu odsiedzieć. Postępujący przedostatni szacunek, wolny jest od zobowiązania. Tym sposobem licytacya się unicestwia. Przy powtórnej dzieje się to samo z niewielką zmianą. Po postąpieniu zaofiarowania przedostatniego matacz znika. A więc rozprasza się i druga licytacya, trzeciej zaś już być nie może. Czy należy dopuścić kupno za sumę niższą od przedostatniego postąpienia, wznowienie poprzedzającego? Takie pytanie rozwiązał niedawno sąd płocki, uchylając przyznanie nieruchomości na rzecz licytanta, nabywającego ją w podobnych okolicznościach za cenę niższą od poprzedniego zaofiarowania.

Pomimo, że owe nadużycia nie wywołały jeszcze w prawodawstwie zmian przepisów odwiecznych, był już przykład doraźnego przecięcia szacherek przez sąd okręgowy płocki przy sprzedaży dóbr L. Licytantów wprowadzano za kratkę i zamykano ją. Dzięki temu, przystępujący do sprzedaży nie mogli się ulotnić. Rzecz niepojęta, że dotychczas jeden tylko taki przykład zaszedł, pomimo iż istnieje artykuł kodeksu karnego: „Kto przy sprzedaży przez licytacyę publiczną nieruchomości itp. przez podarki, obietnice, lub innym sposobem wstrzyma innych od współubiegania się, ulegnie karze pieniężnej do rubli 500."

W czasach kultury, obejmującej świat z szybkością ramion polipu, dzieją się w naszych zakątkach ciekawe anomalie ekonomiczne. Do Lublina odbywa się dostawa wód mineralnych i innych towarów z Krakowa *drogą kołową*, gdyż przewóz taki kosztuje znacznie taniej niż koleją żelazną. Jak utrzymuje *Gazeta lubelska*, przedmioty przybywają *nieuszkodzone i we właściwym terminie*, co nie zawsze się zdarza na kolei. Szkło z fabryki Czechy przywożą furgony. Odlewy żelazne z Bliżyna, pomimo że furmani biorą od przewozu o 7 kop. na centnarze drożej niż kolej, w większej części są sprowadzane drogą kołową. Kupcy zaręczają, iż koszt trochę większy opłaca się *sowicie*.

Prowincya zaczyna się ruszać i nawet zawstydza czasem Warszawę. Radom i Kalisz wystąpiły ze świetnymi kiermaszami. Pierwszy dał dla Towarzystwa dobroczynności 900 rubli czystego zysku za kilka dni. Dużo się napocili i namordowali inicyatorowie, zanim się im udało zarzucić wędki i złapać na nie serca ludzkie. Partykularz z koteryami, to gołoledź, po której najlepsze pomysły i usiłowania ślizgają się nieustannie. Trzeba ogromnej wytrwałości, wiary w siebie i dobrych oskardów, ażeby tę gładką powierzchnię nasiekać. To też drobne na pozór czyny pojedynczych działaczy prowincyonalnych są wielkiej wagi i zasługują na szacunek.

Wyżej stoją objawy altruizmu niepobudzanego przynętą rozrywkową. W Piotrkowie panie K. zajęły się opieką nad uczącemi się rękodzieł dziewczętami i sprzedażą ich wyrobów. Uczenice pracujące zaledwie kilka tygodni, robią znaczne postępy. Szyją kaftaniki dziecinne, fartuszki, kamasze, rękawiczki itd.

O ile przyjemne wrażenie robią objawy miłości bliźniego, o tyle przygnębiające brak poczucia potrzeb umysłowych. W Lublinie szerzą się oszczędności w jednym kierunku. Ludzie nawet *zamożni* poprzestają na jednym tygodniku lub dzienniku, gdy dawniej abonowali po kilka. To samo z książkami dla dorosłych i dzieci. Za to „handelki" bardziej się ożywią.

Ciężko i boleśnie, gdy dzielna praca ludzi nauki rozpada się i wali pod nogi „inteligencyi" całego kraju, która obojętnie patrzy na konanie *żebraczki!* Taka dola spadła na *Pamiętnik fizyograficzny*. *Wszechświat* w długiej przemowie wyjawił swój żal publicznie. „Siódmy rok doświadczenia prowadzi nas do najsmutniejszego wniosku, że owa osławiona miłość rzeczy swojskich, jest tylko urojeniem. Wybuchnąć chwilowym płomieniem, olśnić wielkim a krótkotrwałym efektem jeszcze ona potrafi, ale na mrówczą, codzienną pracę, na trud bez sławy jesteśmy jeszcze za mali." Liczba nierozprzedanych egzemplarzy poważnego dzieła z każdym tomem staje się coraz bardziej przestraszającą, a pomimo to każdy tom następny bogatszy od poprzednich w treść i rysunki. Doszło do tego, że na VII-my zapisało się tylko *trzydzieści* osób. Wobec tego wypadałoby przerwać wydawnictwo. „Chociażbyśmy chcieli — powiadają redaktorowie — nie możemy odstąpić. Pewny szereg faktów dokonanych narzuca twardą konieczność wytrwania." Istotnie za ich przyczyną utworzyły się w kraju stacye meteorologiczne, podjęto prawidłowe badanie w działach fenologii i florystyki. Więc z upadkiem *Pamiętnika* zniknęłyby bez śladu owoce dotychczasowych trudów. Losy się ważą, dopóki wydawcy nie otrzymają od ogółu wotum zaufania w postaci przynajmniej 500 abonentów. Czy się znajdzie tylu odważnych, co zechcą nasze społeczeństwo od sromu uchronić?

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Komitet ministrów ogłosił zmiany w niektórych przepisach, odnoszących się do wywozu spirytusu za granicę. Ministeryum skarbu otrzymało prawo, tytułem próby, na dwa lata, pozwalać właścicielom gorzelni i dystylarni wywozić spirytus za granicę bez składania kaucyj, gwarantujących skarbowi dochód z akcyzy, a obciążający tylko odpowiedzialnością za ten dochód właścicieli. Nadto ministeryum ma prawo uwzględniać pewien procentowy ubytek spirytusu, poniesiony wskutek dostawy.

Ulgi pewne, mające na celu ułatwienie dla posiadaczów ziemskich ciężkiego bytu, będą wprowadzone przez władze naczelne. Na pierwszym planie jest projekt przyjmowania przez oddziały Banku państwa zboża na zastaw przy wydawaniu odpowiednich zaliczeń. Obecnie zaś w ministeryum spraw wewnętrznych powstał zamiar wprowadzenia ulg w wypłacie zaległych podatków. W tym celu gubernatorowie oraz izby skarbowe mają wkrótce dostarczyć szczegółowych wykazów zalegających do 13 stycznia r. b. podatków skarbowych od posiadaczów ziemskich większych i mniejszych. Następnie projektuje się rozłożenie owych zaległości na raty, według uznania miejscowych władz administracyjnych i bez doliczenia kar oznaczonych za opóźnienie. Projekt ten w bieżącym miesiącu będzie przedstawiony Radzie państwa i komitetu ministrów. Tymczasowo ma być wyjednane Najwyższe zezwolenie celem powstrzymania egzekucyi za podatki zaległe.

Szkoły. Według dzienników petersburskich, ministeryum oświaty przystąpi wkrótce do otwierania szkół rzemieślniczych i reformy szkół realnych. Tę ostatnie pod względem pełnienia służby wojskowej, nadawać będą prawa drugiej kategoryi.

Podatki. Ministeryum skarbu uważa za stosowne obłożyć podatkiem banderolowym gilzy, służące do domowego wyrobu papierosów.

Wystawa łódzka otwartą będzie 29 b. m. Spóźnienie nastąpiło wskutek życzenia fabrykantów, przytaczających na swoje usprawiedliwienie tę okoliczność, że kupcy ruscy zjeżdżają zwykle w końcu lutego do miast fabrycznych, a więc w czasie tym będą mieli sposobność obejrzenia wyrobów krajowych, zebranych na wystawie. Komitet Muzeum przemysłu i rolnictwa zwrócił się do dziewięciu zarządów kolei żelaznych z prośbą o zniżenie taryfy o 50% tj. o bezpłatny powrót okazów. Dotychczas 7 zarządów ważniejszych dróg nadesłało odpowiedzi przychylne.

Trzęsienie ziemi. Korespondent *Kur. warsz.* z gub. mińskiej donosi, iż 22 grudnia jednocześnie w kilku miejscowościach: Pleszczenicach, Petrolinie, Żerdziarzu, Okołowie i Mściżu usłyszano nadzwyczaj silny huk podziemny, podobny do grzmotu. W wielu domach szyby zatrzęsły się gwałtownie.

Spółka kolonizacyjna, utworzone w Berlinie przez bar. Henneberga, zmieniła chorągiewkę. Niedawno kolonizowała nabywane majątki pomiędzy osadnikami niemiecko-ewangelickimi. W tym celu kupiła Zamość w pow. ostrzeszowskim. Obecnie dobra swoje oddaje w ręce kolonistów polskich, jak o tem przekonywają ogłoszenia jej, wzywające osadników polskich do nabywania parceli w dwóch posiadłościach na Pomorzu.

W Krakowie wydział Towarzystwa muzycznego uchwalił nie czekać na zapomogę ze strony rządu i wydziału krajowego, lecz o ile najprędzej konserwatoryum muzyczne założyć. Funduszów dostarczą rada miejska i krakowska kasa oszczędności. Dyrektorem mianowano dr. Władysława Żeleńskiego. — W temże mieście staraniem Towarzystwa oświaty w dni świąteczne i niedziele odbywać się będą popularne odczyty bezpłatne dla młodzieży rzemieślniczej.

Naturalizacya cudzoziemców. Jako warunki otrzymania poddaństwa postawiono: 5 lat zamieszkania bez świadectwa o przypisaniu administracyjnem, lojalność polityczną, środki do utrzymania, świadectwo niepodsądności, uwolnienie lub stracenie poprzedniego poddaństwa. Nieletni otrzymują poddaństwo wraz z rodzicami. Żydzi obcy poddani nie uzyskają naturalizacyi.

Graždanin donosi, że propon owane podobno przez komisyę Pahlena przyznanie żydom prawa do zamieszkania po wsiach Rosyi, odrzuciła wyższa instancya rządowa.

W Paryżu puszczono w obieg na święta złośliwą zabawkę pod nazwą „trumna Juliusza Ferry." Za naciśnięciem guzika otwiera się zgrabna trumienka, w której spoczywa świnka. Jednocześnie wyskakuje szpilka i kluje trzymającego zabawkę w palec.

W Pradze Franciszkowi Skrejszowskemu, redaktorowi tygodnika *Vychod*, prokuratorya wytoczyła sprawę o zdradę stanu. Podobno jest ona w związku z aresztowaniem redaktora *Parlamentär*, d-ra Żywnego.

Nowa choroba. Amerykańskie dzienniki medyczne opowiadają o wzrastających tam wypadkach zupełnie nowej choroby, wskutek nadmiernego picia mocnej herbaty. Nazwano ją *theinizmem*. Objawia się silnem rozdrażnieniem nerwowem i zboczeniami w funkcyach serca i mózgu.

Literatura. Tłomacz poetów polskich, Zygmunt Ludomir, przełożył na język niemiecki *Kirgiza* Gustawa Zielińskiego.

— W piśmie moguńckiem *Neue poetische Blätter*, ukazał się artykuł o powieściopisarstwie polskiem, głównie o zasługach Elizy Orzeszkowej.

Hr. Leon Tołstoj bawi obecnie w Moskwie w celu utworzenia wszechrosyjskiego Towarzystwa wstrzemięźliwości.

Morze Bałtyckie zamarzło. Komunikacya między Kronsztadem i Oranienbaumem odbywa się na saniach.

Wyrok. W sprawie pożaru opery komicznej w Paryżu sąd wydał wyrok, mocą którego dyrektor Carvalho skazany został na trzymiesięczne, a jeden z członków straży ogniowej na jednomiesięczne samotne więzienie. Nadto pierwszy zapłaci 58,000 fr. tytułem wynagrodzenia za straty. Innych uniewinniono.

Adwokaci petersburscy opracowali memoryał, dowodzący, iż obrońca przysięgły nie jest obowiązany do popierania spraw wyraźnie niesłusznych, chociażby z urzędu był wyznaczony.

Swiet donosi, że w tych instytuchach, gdzie są znaczne sumy, nie będzie wolno jednocześnie zajmować posad przez bliskich krewnych, np. ojca z synem, wuja z siostrzeńcem, dziadka z wnukiem itd.

Wsiewołod Garszin, bardzo zdolny nowelista ruski, dotknięty został obłędem umysłowym.

Monopol tytuniowy. Członkowie komisyi ministeryum skarbu do rewizyi i opracowania kwestyi monopolu tytuniowego oświadczyli się przeciw wprowadzeniu go w Rosyi.

Pożyczki. Za porozumieniem się wzajemnem zarządzającego ministeryum dóbr państwowych z kontrolerem państwa, postanowiono na r. 1888 zmniejszyć kwotę drobnych pożyczek dla właścicieli ziemskich w tranzakcyach wykupowych. *St. Pet. Wied.* donoszą, iż zamiast uprzednio projektowanej sumy 145,000 rubli, przeznaczone będzie 70,000 rs.

Nauki w szkołach elementarnych prywatnych w Warszawie z powodu silnego mrozu zostały przerwane.

Wystawa artystyczna. Stowarzyszenie artystów wiedeńskich urządza wystawę dzieł sztuki na pamiątkę 40-letniego panowania cesarza Franciszka Józefa I-go. Obejmować ona będzie dzieła artystów austryackich, wykonanych w ostatniem czterdziestoleciu, oraz innych narodowości z ostatnich lat pięciu. Protektorat przyjął arcyksiążę Karol Ludwik. Przeznaczono wielką liczbę nagród i znaczne kwoty na kupno obrazów z wystawy. Koszt przesyłki tam i napowrót płaci stowarzyszenie pod pewnymi warunkami. Ostateczne terminy: zgłoszenia się do 15 b. m., nadesłania prac — do 1 lutego, otwarcia — 1 marca, zamknięcia — 30 maja r. b.

Zmarli. Roman Wierzchlejski, prawnik. Za czasów Wielopolskiego był podprokuratorem przy trybunale cywilnym, następnie przy sądzie apelacyjnym. Pisywał do *Kuryera wileńskiego, Gazety codziennej, Gazety polskiej, Biblioteki warszawskiej, Gazety sądowej, Ekonomisty.* Po r. 1863 był kilka lat pomocnikiem naczelnego prokuratora IV departamentu senatu. Brał udział w opracowywaniu wielu projektów w pracach licznych stowarzyszeń. W roku zeszłym przewodniczył zjazdowi prawników w Krakowie. Przed miesiącem wystąpił jako jeden z inicyatorów i założycieli biura porady prawnej.

— Józef Gajewski, filolog. Kształcił się w uniwersytecie warszawskim i w Lipsku. Był nauczycielem języków starożytnych w gimnazyach radomskiem i częstochowskiem. Pracował także na polu literackiem i dziennikarskiem.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Omikronowi. Wiersze odebraliśmy, ale ich sensu — nie. Niech Pan nie budzi muzy, tyloma wezwaniami strudzonej.

P. Kaz. Ortyńs. Listowi pańskiemu musimy przyznać tę zaletę, że jest on w swoim rodzaju jedynym. Jeszcze nigdy nie czytaliśmy, że jedyną przyczyną naszego upadku była polityka antipapieska i odstępstwo od nauki Watykanu. Ale jeżeli papież uczą: „uznaj władzę, która jest, jako postanowioną od Boga, zniewalaj ją dla siebie prośbą," to czemu Leon XIII nie stosuje tej zasady do rządu włoskiego, który „jest" i „od Boga postanowiony," a przeciwnie nazywa go w Rzymie „najezdniczym" i grozi walką?

Berkotowi. Rytm ciągle chroma — barwy poetyczne wyblakłe.

P. P. Roz. Szczególnym wypadkiem list pański dopiero teraz doszedł rąk naszych. *Sport* znaczy: gra, zabawa, a więc: zabawa welocypedowa, wiosłowa itd., chociaż: kołowa, wodna — również jest wyrażeniem zasadnem. Ściślej i stałej nazwy wyznaczyć tu niepodobna.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

OFIARY.

Dla biednych: Borowski ze Słucka kop. 80. Dr Niedzielski z Gieorgiewska rs. 2 kop. 80.

Na wpis dla uczniów: Kociejowski z Orszy kop. 50.

Dla studentów uniwersytetu: S. A. z Odesy rs. 25.

Na kasę imienia Mianowskiego. Towarzystwo „Ogniwo" z Zurichu rs. 5. S. A. z Odesy rs. 5.

Na stypendyum imienia Kraszewskiego: Towarzystwo „Ogniwo" z Zurichu w złocie franków 30.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Декабря 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.